SOBOTA 26.I.1980 Nr 11 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

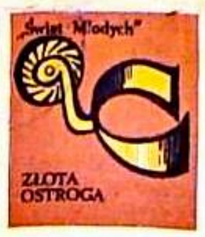

- MOŻE TO BĘDZIE DLA CIEBIE SZCZĘŚLIWA SIÓDEMKA?
- WEŹ UDZIAŁ W NASZYM KONKURSIE!

PO RAZ SIÓDMY

ogłaszamy

KONKURS LITERACKI „ZŁOTA OSTROGA"

tym razem pod hasłem

SZKOŁA

Szczegóły na str. 3

Berliński Pałac Pionierów

WARTO TAM ZAJRZEĆ

Jakże pięknie prezentuje się niedawno otwarty w Berlinie Pałac Pionierów (patrz zdjęcie). Ale jest co podziwiać i wewnątrz budynku. W zasadzie mieszkający w stolicy NRD pionierzy znajdą tu wszystko co ich interesuje. Nowocześnie wyposażona pracownia chemiczno-fizyczna, ceramiczna, modelarnia okrętów i samolotów zawsze pełne są entuzjastów naukowych doświadczeń i majsterkowania. W pływalni i hali gimnastycznej trenują przyszli mistrzowie „żabki", judo i gier drużynowych. Nie zapomniano także i o miłośnikach kosmonautyki. Specjalne centrum, nad którym patronat objął lotnik-kosmonauta Sigmund Jähn, posiada mapy nieba, makiety międzyplanetarnych pojazdów, satelitów, a nawet olbrzymią lunetę astronomiczną. Będąc w Berlinie warto więc zajrzeć i do Pałacu Pionierów. Gospodarze zapewniają wiele atrakcji i mile przyjmą każdego.

MICHAEL JAHN
Fot. **Horst Glocke**

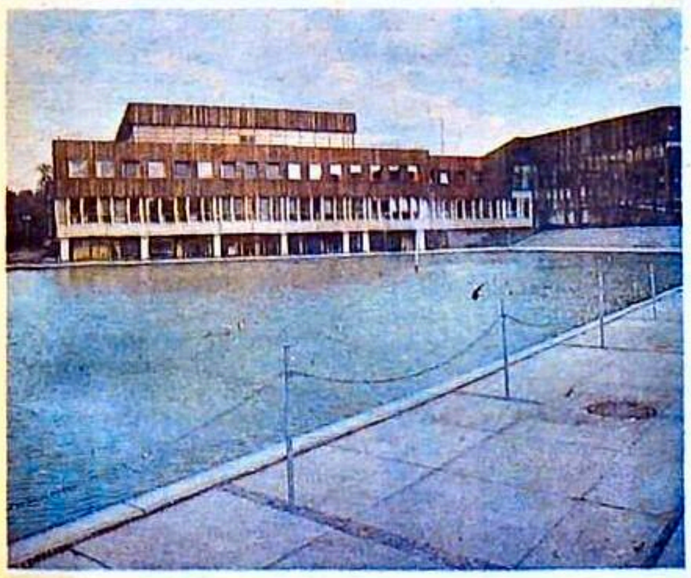

... Stoimy w magazynie, a Sadowski wskazując na rzędy drewnianych skrzyń mówi: „Oto moja flota". I zaraz zaczyna się rewia statków. Wielki masowiec OBO, w rzeczywistości 105 tys. ton nośności. Model też prezentuje się okazale. Ale nieważna wielkość. Tu się liczy precyzja, każdy szczegół musi być dokładnie odtworzony, zachowana skala, kolory...

„TO MUSI TKWIĆ W ŚRODKU" – str. 3

Fot. **M. Szymański**

WSPOMNIENIA Z JAŚMINU

Ania ma oczy błękitne i kolorowe włosy. Nie można ich nazwać inaczej. Na końcach są czarne, potem brązowe, lśniące jak kasztany, a grzywka przypomina nastroszony, puszysty ogon wiewiórki. Ania ma bursztynowego słonika, którego chowa na szczęście i mnóstwo różnych pamiątek, które coś jej przypominają: zardzewiałą podkowę z wakacji w górach; bieszczadzki gliniany wazonik, który sama ulepiła; kolczyki z jarzębiny i cały zeszyt zasuszonych kwiatków jaśminu. Ta pamiątka wydała mi się najbardziej zadziwiająca. „...po co jej tyle kwiatów, nie mogła zasuszyć jednego?" Ania powiedziała, że wydarzenie, które symbolizują te kwiatki, było dla niej ważne i chce o nim długo pamiętać, dlatego ususzyła tyle jaśminu ile dał jej Andrzej.

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Jęczmień sprzed... 17 tysięcy lat

EGIPT (PAP). W czasie prac wykopaliskowych prowadzonych w korycie wyschniętej rzeki w pobliżu Asuanu znaleziono w ziemi ziarna jęczmienia pochodzące sprzed 17 tys. lat. Kompletna susza panująca na tym obszarze przed kilkunastu tysiącami lat uniemożliwiła nasionom ich rozwój biologiczny. Duże zainteresowanie naukowców wywołał fakt, że ziarno nie należało do dzikich odmian jęczmienia. Świadczyłoby to, że historyczne przechodzenie człowieka z okresu myśliwstwa do zbieractwa i uprawy ziemi nastąpiło dużo wcześniej niż dotychczas sądzili badacze dziejów. Odnalezione w Egipcie ziarno jest o 8 tys. lat starsze od tego, na które archeologom udało się natrafić przed kilku laty podczas prac prowadzonych w Syrii. **(kż)**

Bez nawozów sztucznych

OD STU LAT doświadczalne pole na Ukrainie PRZYNOSI TEN SAM PLON

ZSRR (PAP). Rolnicza Stacja Doświadczalna w Połtawie na Ukrainie ma jedno z najstarszych pól eksperymentalnych w świecie. Zasady gospodarowania na nim opracowali jeszcze wybitni rosyjscy uczeni-gleboznawcy, Paweł Kosticzew i Wasili Dokuczajew. Od stu lat na polu tym sieje się żyto ozime, a po zakończeniu zbiorów w bardzo ścisłych terminach przeprowadza zabiegi agrotechniczne. Nie stosuje się tu nawozów, za to zmienia odmiany ziarna siewnego. Jak wskazują badania, ilość próchnicy w glebie na tym polu, pomimo niestosowania nawozów, zmniejszyła się tylko o 0,5%, zaś fosforu – o ok. 0,1%. Natąpił za to kilkakrotny spadek ilości mikroorganizmów, ale nie wpłynęło to na rozmiary plonów. Do dziś pozostają one takie same. Pracownicy Stacji są zdania, że cała tajemnica tkwi w bardzo ścisłym przestrzeganiu warunków uprawy ziemi, dzięki czemu może ona zachować żyzność przez bardzo wiele lat. **(tok)**

Kolarze są już w Wetzikon

Z ROWEREM NA PLECACH

Kolarstwo przełajowe, choć jest niezwykle trudną dyscypliną (nie cały dystans można przecież pokonać na rowerze), zdobywa sobie coraz więcej zwolenników. Staje się popularne również w naszym kraju. Polscy zawodnicy są nawet drużynowymi mistrzami świata; rok temu, na trudnej trasie we włoskiej miejscowości Saccolongo wywalczyli złoty medal, a czterech naszych reprezentantów znalazło się w pierwszej dziesiątce klasyfikacyjnej listy indywidualnej.

Dzisiaj w Wetzikon rozpoczynają się kolejne MŚ. Mamy nadzieję, że w tej szwajcarskiej Mekce kolarstwa przełajowego także pokażemy, że dotychczasowe sukcesy nie były dziełem przypadku. Liczymy głównie na Grzegorza Jaroszewskiego (na zdjęciu) oraz na Tadeusza Steinke. Obaj należą do ścisłej europejskiej czołówki. Edward Olejniczak, trener polskiej drużyny, uważa, że najgroźniejszymi rywalami będą Szwajcarzy (nie tylko ze względu na własny teren) i Czechosłowacy, którzy ostatnio jeżdżą bardzo ofensywnie. Dodajmy, że trasa w Wetzikon jest niezwykle trudna. Zwłaszcza kiedy popada śnieg lub deszcz. Ale nasi kolarze są dobrze przygotowani, zwłaszcza na ciężkie warunki. Życzymy powodzenia. **(zp)**

Fot. **CAF**

Wielki Międzynarodowy Konkurs Rysunków Dziecięcych

„TAK WIDZĘ ŚWIAT"

W dniach 13–15 grudnia w Moskwie nastąpiło zamknięcie Międzynarodowego Konkursu Rysunków Dziecięcych pod hasłem „Tak widzę świat". Organizatorem konkursu jest redakcja „Pionierskiej Prawdy", która podobne akcje urządza co dwa lata. Na konkurs napłynęło około 350 tysięcy prac, wykonanych przez dzieci z całego świata.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

VIII ZJAZD PZPR

Tak było, tak jest, tak będzie!

TEMAT DNIA

Co to jest synchronizacja? Z pewnością wielu spośród was potrafi bezbłędnie wyjaśnić, że pojęcie to oznacza cykl skomplikowanych czynności włączenia nowej turbiny do sieci energetycznej kraju. Co nieco wiemy także o elbląskim „Zamechu" wytwarzającym urządzenia dla siłowni, głośno jest o zamierzeniach rozbudowy systemu polskich elektrowni obejmujących m.in. urochomienie siłowni nuklearnej.

Tak, energetyka jej kłopoty i potrzeby – sprawy do niedawna pochłaniające tylko wąskie grono fachowców – stały się tematem skupiającym powszechną uwagę. Czemu przypisać to zainteresowanie? Odpowiedź na to pytanie jest prosta: skończyła się era tanich paliw, powstały niedobory energii, uświadamiające wszystkim jak bardzo nasze życie i praca uzależnione są od sprawnego działania elektrowni i elektrociepłowni. Odczuliśmy to dotkliwie w czasie ubiegłorocznej fali mrozów i śnieżyc. Wówczas trudności energetyki pogłębiły zakłócenia w funkcjonowaniu transportu, częste awarie kotłów i turbin. Ale nie tylko zimą trwa ostre pogotowie w naszych siłowniach. Duże tempo rozwoju przemysłu spowodowało większe niż przewidywano zapotrzebowanie na energię. Stąd niedobory, dotykające przede wszystkim przemysł, powodujące przerwy w produkcji.

Jaki jest stan naszej energetyki? W ciągu 10 lat moc siłowni zwiększyła się prawie dwukrotnie. To bardzo wiele, ale w praktyce okazuje się, że nadal nie wystarcza na potrzeby gospodarki. Tym bardziej że nie zawsze umiemy oszczędnie wykorzystywać energię.

Co niesie przyszłość? Przede wszystkim planuje się budowę nowych siłowni. Od pewnego czasu trwają już roboty w Bełchatowie, gdzie obok kopalni odkrywkowej węgla brunatnego dostarczającej taniego paliwa, stanie największa polska elektrownia. W roku 1985 osiągnie moc około 4 tysięcy megawatów. Postępują prace na budowach innych obiektów energetycznych a w już istniejących wprowadza się nowocześniejsze urządzenia, wydatniejsze kotły i agregaty. W najbliższym pięcioleciu produkcja energii elektrycznej wzrośnie o około 24–28 proc.

Ale planowany rozwój nie zwalnia całej gospodarki z nakazu maksymalnego oszczędzania energii we wszystkich jej postaciach. Głównie w przemyśle wprowadzane będą oszczędne technologie produkcji, maszyny zużywające jak najmniej prądu. Ważne są także wszystkie przedsięwzięcia zmniejszające ilość paliw wykorzystywanych w transporcie, w rolnictwie, w budownictwie, gdzie wprowadzenie izolacji termicznych budynków znacznie zmniejszy straty ciepła. Duży nacisk kładzie się także na rozbudowę technicznego zaplecza elektrowni, lepsze zaopatrzenie w części zamienne oraz badania naukowe nad ograniczeniem strat energii w czasie przesyłania jej do odbiorców.

Także każdy z nas może mieć swój niewielki, ale przecież w sumie liczący się udział w oszczędzaniu energii. Wystarczy po prostu wyłączyć zbędną żarówkę.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

W 75 rocznicę strajku szkolnego

BYŁO GORĄCO W MROŹNE DNI...

Zima 1905 roku w Warszawie nie była łaskawa. Silne mrozy, do 30 stopni poniżej zera, dawały się we znaki już od początku stycznia. Na Nadwiślańską i Terespolską stację kolei żelaznych pociągi przychodziły z opóźnieniem, a i miejskiej komunikacji nie można było zaufać. Tramwajarskie i dorożkarskie konie ślizgały się po jezdni, padały. Mróz jednak nie był głównym tematem rozmów warszawiaków i nie o pogodzie rozprawiano tak żarliwie tej zimy.

W domach, w kawiarniach, przy ulicznych piecykach z koksem zwierzano sobie poufnie wieści z Dalekiego Wschodu o niepowodzeniach armii carskiej w wojnie japońskiej. Klęski cara warszawiacy skłonni byli wyolbrzymiać dla własnej pociechy. Antoni Słonimski wspomina anegdotę, którą jego ojciec usłyszał tej zimy. Oto japoński generał Maresuke Nogi siedzi u siebie w kabinie i je zsiadłe mleko z kartoflami. Nagle przybiega adiutant i melduje: Wasze Wieliczestwo! Flotę rosyjską widać już na horyzoncie! A generał nic tylko je zsiadłe mleko z kartoflami. Przybiegają wtedy generałowie, kapitanowie i wołają: Wasze Priewoschoditielstwo! Flota rosyjska już jest tu! A generał dalej, jak gdyby nigdy nic, je zsiadłe mleko z kartoflami. Za chwilę znów przybiegają i krzyczą, że Rosjanie już strzelają. Generał Nogi wstał, wytarł usta serwetką, wyszedł na pokład ... i zatopił flotę rosyjską.

Opowiadano wówczas różne anegdoty zagrzewając się myślą o rychłych zmianach na lepsze. Tymczasem car trzymał się pewnie, a portrety carskiej rodziny nadal straszyły w szkołach polskie dzieci. Lekcje odbywały się w jęz. rosyjskim, a każde odezwanie się po polsku, nawet na pauzie, podlegało karze. W początkowej trzyklasowej szkółce ludowej dzieci pisać i czytać po polsku nie umiały, ale musiały znać na pamięć taśmowe tytuły „najwyżej urodzonych". Wystraszone siedmioletnie maluchy bite po rękach przez nauczycieli rusyfikatorów powtarzały z lękiem: *„Jewo impieratorskoje wieliczestwo, gosudar impierator Nikolaj wtaroj Aleksandrowicz, samodierżec wsierosijskij, korol polskij, wielikij kniaź finlandskij, i proczaja, proczaja, proczaja"*. Wszystkim uczniom kazano się modlić za cara i jego rodzinę, a wśród rosyjskich pieśni, których się musieli uczyć, hymn „Boże cara chrani" był najważniejszy. Jednocześnie zaborcze władze oświatowe robiły wszystko, aby uczniowie zapomnieli o własnych narodowych bohaterach. Przy pomocy rusyfikacyjnych podręczników historii chciano np. zniszczyć w narodzie pamięć o życiu i czynach Kościuszki. Ze szkolnego podręcznika polskie dziecko dowiadywało się jedynie tyle, że wielki wóz rosyjski Suworow rozgromił wojska polskiego generała, a ten miał powiedzieć: „Finis Poloniae" i od tego czasu Polski już nie ma.

Dla administracji i biurokracji rosyjskiej nawet Królestwa Polskiego nie było, nazywano je bowiem „Krajem Przywiślańskim" podkreślając, że jest to jedynie jedna z wielu rosyjskich prowincji imperium carskiego. Język rosyjski jako wykładowy w szkołach polskich miał być, jak donosiły miejscowe władze zaborcze carowi: *„jednym z najsilniejszych środków dla zjednoczenia kraju Nadwiślańskiego z cesarstwem rosyjskim"*. Identyczne metody stosowały władze Cesarstwa Niemieckiego w zaborze pruskim, również rugując język polski ze szkoły w celu germanizowania Polaków od lat najmłodszych. Zaprotestowały przeciwko temu słynnym strajkiem dzieci wrzesińskie już w 1901 roku.

Społeczeństwo Królestwa Polskiego, młodzież i dzieci świadomi byli tych działań i jak mogli opierali się zapędom rusyfikacyjnym. Uczniowskie bunty wybuchały tu i ówdzie, zawsze twardo tłumione. Młodzież wstrzymywał również lęk przed cierpieniem rodziców, przed goryczą ich zawiedzionych nadziei. I choć te dążności do stawiania oporu wśród młodzieży istniały od dawna, strajk szkolny w Królestwie Polskim wybuchł nagle, pod presją rewolucyjnych wydarzeń w Rosji, za przykładem robotników.

I powiało wiatrem rewolucji

„Robotnicy tu od dawna strajkują, padły już trupy (...) I my młodzież szkolna powinniśmy się upominać o swoje prawa (...) Precz z rusyfikacją! Precz z ograniczeniami klasowymi i wyznaniowymi! Precz z systemem policyjnym! Niech żyje powszechne nauczanie!" – głosiła odezwa napisana w nocy, w piątek 27 stycznia na zebraniu przedstawicieli szkół średnich Warszawy zwołanym przez Związek Młodzieży Socjalistycznej w mieszkaniu prywatnym przy ulicy Nowogrodzkiej. Tej nocy też podjęto decyzję o strajku szkolnym wyznaczając datę jego wybuchu na 30 stycznia.

W Warszawie wrzało od wieści dochodzących z Rosji. Dzień 22 stycznia w Piotrogrodzie przeszedł do historii jako „krwawa niedziela". Tego dnia w kierunku Pałacu Zimowego ruszył wielki pochód. Robotnicy wyszli na ulice z żonami i dziećmi, niosąc święte obrazy i petycje do cara z błagalną prośbą, aby ulżył ich ciężkiej doli. Carska żandarmeria i wojsko przywitali tę spokojną manifestację strzałami. Doszło do masakry. O „krwawej niedzieli" w „Pitrze" mówiono w Warszawie z dumą i lękiem. Ruch rewolucyjny z Piotrogrodu przenosił się do innych miast, w Rosji powiał rewolucyjny wiatr. Gazety warszawskie nie rozpisywały się na ten temat, cenzura skrupulatnie wykreślała wszelkie wzmianki o rewolucyjnym wrzeniu w Rosji. Warszawiacy mieli jednak swoje nieoficjalne, ale zawsze prawdziwe informacje. Wypadki w Rosji z uwagą śledziły polskie partie robotnicze, SDKPiL i PPS. Już w nocy 24 stycznia z wtorku na środę trwały obrady Warszawskiego Komitetu Rewolucyjnego. Ustalono datę strajku powszechnego. Wybuchł przed terminem wywołany spontanicznie w wyniku wydarzeń i rewolucyjnych nastrojów. W piątek 27 stycznia strajkowało w Warszawie 35 tys. robotników.

„Przestępca". Współczesny rysunek satyryczny

Nazajutrz opuszczali szkoły uczniowie szkół średnich, na Uniwersytecie i Politechnice wiecowali studenci. *„Gimnaziści na wzór robotników fabrycznych zatrzymywali jedno gimnazjum za drugim"* – pisał korespondent krakowskiego „Naprzodu" z Warszawy. *„Przez więzienne mury carskiej szkoły doszedł do nas potężny okrzyk ludu roboczego"* – głosiły uczniowskie odezwy. Strajkująca młodzież wysuwała żądania demokratyzacji systemu szkolnego, prawa każdego do uczenia się w języku ojczystym, kontroli społeczeństwa nad szkołą, zniesienia systemu policyjnego w szkole, ograniczeń wyznaniowych, narodowościowych i dopuszczenia kobiet do nauki na wyższych uczelniach. Walka o polską szkołę cieszyła się uznaniem całego społeczeństwa, a początkowo oporni rodzice po wiecu w dniu 19 lutego poparli strajkującą młodzież. Jedynie nieliczni zmuszali swoje dzieci do chodzenia do szkoły, narażając je na represje ze strony strajkujących kolegów. Łamistrajków siłą wyciągano ze szkoły, a dziewczętom obcinano warkocze. Polscy nauczyciele i wychowawcy poparli młodzież organizując tajne nauczanie. Od początku patronowały wystąpieniom uczniów obie partie robotnicze, a także i ugrupowania prawicowe. Te ostatnie popierały strajk szkolny jedynie w sprawie unarodowienia szkoły, nie podzielały postępowych, demokratycznych dążeń młodzieży. Uczniów także, podobnie jak całe społeczeństwo, dzieliły te dwie orientacje polityczne.

Bojkot szkoły mimo represji trwał do końca roku. Na początku listopada w Dolinie Szwajcarskiej polscy profesorowie żegnali kilku rosyjskich kolegów z warszawskich uczelni, którzy dobrowolnie postanowili wyjechać. Napisali oni memoriał w obronie polskiej młodzieży. Wyjeżdżała również część studentów rosyjskich żądając przeniesienia na rosyjskie uczelnie, aby *„nie przeszkadzać przeważającej części studentów, którzy postawili żądanie unarodowienia wyższej uczelni w Warszawie."*

„(...) wspaniały, jeszcze nie oceniony należycie czyn profesorów i studentów Uniwersytetu i Politechniki Warszawskiej, ludzi obcych nam, może wychowanych w niechęci do nas, którzy jednak dla sprawiedliwości wyjechali z Warszawy, poświęcili swoją karierę (...) Doprawdy, że zasługuje na szacunek naród, który posiada takich obywateli (...)" – pisał o tym wydarzeniu Bolesław Prus w Kronice Tygodniowej z dnia 24 lutego 1906 roku.

„Ojczyzną był język i mowa"

„Rozpoczęliśmy ruch wśród młodzieży, aby zaprotestować przeciw szkole rosyjskiej w Polsce. Wiemy, że na razie nie osiągniemy dla siebie pomyślnego losu. Wiem, że się narażamy bez nadziei zwycięstwa. Wiemy, że idziemy na stracenie, wiemy, że się marnujemy. I z tego zdajemy sobie sprawę. Nie przybieramy pozy bohaterów, nie rozpoczynamy walki z najazdem, jak nasi ojcowie, nie zginiemy śmiercią bohaterską. Wiemy, że nas wypędzą, że nas oddadzą w sołdaty, że pójdziemy do głębokiej Rosji (...) Wiemy, że nie padniemy, lecz pójdziemy na marne. Ale wiemy, że walka, którą rozpoczynamy, owocna będzie dla naszych następców, dla naszych młodszych braci, dla przyszłej generacji (...)". Powiedział te słowa w roku 1905 szesnastoletni uczeń na jednym z zebrań strajkowych. Nie mógł wiedzieć wtedy, że wielu z nich będzie miało szczęście oglądać narodziny Polski niepodległej. Wówczas wyniki walki wydały im się znikome. Reskrypt cara z 14 października zezwalał na prowadzenie lekcji w jęz. polskim z wyjątkiem geografii i historii jedynie w szkołach prywatnych bez praw szkół państwowych. Wiosną 1906 roku zezwolono na prowadzenie lekcji po polsku w klasach pierwszych. Z czasem wszystko wróciło do dawnego, a władze z nową energią zabrały się do rusyfikacji. Tak było na pozór. Walka o polską szkołę i polski język sprawiła, że powstał cały system tajnej oświaty i to nie tylko w tym zaborze. Naród wychowany, przez trud i ofiary pokoleń, w kulcie języka i kultury polskiej w chwili uzyskania niepodległości był mimo zaborów zjednoczony. Dla pokoleń „urodzonych w niewoli, okutych w powiciu" „Ojczyzną był język i mowa..." i tej ojczyzny broniło pokolenie strajku szkolnego.

BARBARA TYLICKA

Utarczki z codziennością

Kilka tygodni temu mieliśmy piekielną awanturę. A wszystko przez Wacka. W ferworze walki o piłkę na szkolnym boisku wyrwało się mu trochę niecenzuralne słówko. Usłyszała to pani, która nie lubi takich słówek. My też nie, ale przecież każdemu czasem się coś wyrwie. Kilka dni trwały dyskusje, że wszystkiemu winien sport, bo uczy brutalności. Jesteśmy innego zdania, ale co tam nasze zdanie.

Nie pomogły przyrzeczenia, że będziemy się zachowywać poprawnie, że tych słówek nauczyliśmy się wcale nie na szkolnym boisku. Uznano, że jedyne lekarstwo na zachowanie czystości naszego języka to pozbawienie nas piłki. I pozbawiono. Ale to nie wpadka Wacka była tego powodem. Codziennie mieliśmy utarczki z panią woźną o to, że podłogę w korytarzu brudzimy. To prawda, bo jak na boisku błoto to i buty się brudzą.

Ponieśliśmy klęskę, ale nasz trener postarał się o to, żeby tylko połowiczną. Poza piłką lubimy grać w tenisa stołowego, może dlatego, że do tej gry jest sprzęt, a do innych nie. Przekonał więc panią dyrektor, żeby stół ustawić w korytarzu. Wtedy i podłoga będzie czysta i w obecności dyżurujących wychowawców, każdy wcześniej się w język ugryzie, nim brzydkie słówko wypowie.

Ale w szkole jest nas blisko pół tysiąca i każdy chce z rakietką choć trochę poskakać. Wzorem zakładów pracy – wprowadziliśmy więc zmianowość. Porządkiem i rotacją klas przy stole zajęli się młodzieżowi organizatorzy sportu. Nasze szczęście nie trwało jednak długo. Znalazły się osoby, którym korytarzowe harce też nie przypadły do gustu. Władza szkolna poleciła stół usunąć motywując tym, że do szkoły przychodzą różne osoby i wizytacje, a tu wrzask, aż uszy puchną. Trzeba przyznać, że zainteresowanie pingpongowymi turniejami raptownie wzrosło. Nic dziwnego, bo wystarczyło wyjść z klasy i już człowiek wpadał w turniejowe emocje.

Stół przeniesiono do sali gimnastycznej, ale ta wymaga generalnego remontu. Jest i ten szkopuł, że w sali nie ma nas kto pilnować i możemy nabić sobie guza. Jeden nauczyciel wf przecież się nie rozerwie. Mamy też ze stołem sporo roboty, ciągle musimy go składać i rozkładać, bo jeśli nie zajęcia wf to apele i zebrania się tu odbywają. Chociaż z tymi zajęciami wf to bywa różnie. Wykorzystuje się je często na załatwianie spraw gospodarczych i porządkowych.

Podobno nic z rozwoju fizycznego nie tracimy, bo przy przenoszeniu mebli i porządkach mamy tyle ruchu, że jedna godzina pracy za dwie lekcje wf wystarczy. To nic, że wolelibyśmy w tym czasie pograć w piłkę, pobiegać i poskakać. Może brak nam wyobraźni, ale te gospodarcze i porządkowe prace ze sportem w żaden sposób nam się nie kojarzą.

A z tym skakaniem to jest tak, że w sali gimnastycznej maty są, ale brak skrzyni i odskoczni. Na boisku też żadnych urządzeń sportowych nie ma. Ze sprzętem w ogóle jest krucho. Pieniądze są, tylko z kupnem bywają trudności. CEZAS realizuje zamówienia, które dwa lata temu złożono, ale wtedy nikt w naszej podwarszawskiej szkole o zakupie sprzętu poważnie nie myślał. Można więc mieć nadzieję, że sprzęt będzie za dwa lata. Tylko że nas już w tej szkole nie będzie.

O sprzęcie zimowym aż wstyd mówić. Mamy trzy pary sfatygowanych nart i osiem połamanych sanek, które do naprawy już się nie nadają. Było trochę dobrych nart, ale kiedyś wypożyczono je innej szkole i wieść o nich zaginęła. Wykorzystujemy własne, ale rodzice niechętnie na to patrzą, bo niby dlaczego na kupionych pod choinkę nartach i sankach zaraz wszyscy mają jeździć. Niby racja, ale jak tu odmówić koledze?

Gramy więc w tenisa stołowego i biegamy po lesie. Łudzimy się też nadzieją, że może nasz zakład opiekuńczy – a są nim Zakłady Wytwórcze Aparatury Rozdzielczej – przyjdzie nam z pomocą. Z tą też nadzieją naszych opiekunów na szkolnych uroczystościach zawsze serdecznie witamy.

Zwierzenia amatora sportu spisał RYSZARD RATAJCZYK

KONKURS LITERACKI – „ZŁOTA OSTROGA"

POD HASŁEM:

SZKOŁA

Jedni twierdzą, że szkoła to brzmi dumnie, drudzy mówią o szkole niechętnie uważając, że życie zaczyna się poza nią. Tymczasem wszyscy w młodym wieku muszą przez nią przejść, muszą z nią żyć. Ba, przebywają w niej przez większą część dnia, tu przeżywając zarówno chwile szczęścia jak niepowodzeń i dramatów. „Choćby cię palono w smole, nie mów co się dzieje w szkole" – głosi stare i całkowicie już nieaktualne porzekadło. Zresztą po co mówić, można pisać! Zastanów się, jakie jest to Twoje życie ze szkołą, co dobrego a co złego Cię w niej spotyka, co ciekawego tam przeżyłeś, czego ważnego dla Ciebie tam się dowiedziałeś, czy sądzisz, że będziesz miał co opowiadać wnukom, wspominać do końca życia – słowem opisz swoje przeżycie związane ze szkołą w formie krótkiego opowiadania. Chodzi o opowiadanie realistyczne oparte na prawdziwych faktach i wydarzeniach, które sam zaobserwowałeś, w których brałeś udział Ty lub Twoi koledzy.

Jak zwykle, choćby nas palono w smole, na Twoje życzenie zachowamy całkowitą dyskrecję. Najważniejsze bowiem będą w tym opowiadaniu Twoje własne myśli, sądy, obserwacje. Od tej samodzielności i umiejętności obserwacji zaczyna się nauka ciekawego, sensownego pisania ba, w ogóle wszelkie pisarstwo. Nim więc weźmiesz długopis do ręki, zastanów się co masz ważnego do powiedzenia, co naprawdę poruszyło Cię do głębi. Nie zapomnij jednak, że jest to konkurs literacki, więc i forma Twego opowiadania ma także znaczenie niemałe. I tu też nie oglądaj się na innych, śmiało pisz jak Ci się wydaje. Odwaga wyrażania własnych sądów, śmiałość w wyborze słów, zwrotów i sformułowań niepowszechnych – to konieczne zalety posługującego się piórem. Jesteś odważny? Weź udział w konkursie!

Warunki konkursu:

1. Może w nim wziąć udział każdy czytelnik w wieku 12–16 lat
2. Opowiadanie na temat związany ze szkołą nie może przekraczać 20 kartek zeszytu (zapisanych jednostronnie) lub 10 stron maszynopisu.
3. Pracę należy podpisać pełnym imieniem i nazwiskiem, a także pseudonimem. Należy podać wiek, klasę i dokładny adres.
4. Opowiadanie napisane czytelnie należy przesłać pod adresem redakcji: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, **do dnia 15 kwietnia br.** Ważna data stempla pocztowego.

Jury złożone z pisarzy i redaktorów „Świata Młodych" będzie oceniało prace w dwóch grupach wiekowych: 12–14, 15–16 lat. Opowiadania nagrodzone i wyróżnione będą drukowane w „Świecie Młodych", a ich autorzy otrzymają honorarium pieniężne. Autorzy najlepszych prac zdobędą: ZŁOTĄ, SREBRNĄ i BRĄZOWĄ OSTROGĘ. Dziesięciu autorów prac nagrodzonych i wyróżnionych zaprosimy do Warszawy na uroczyste wręczenie nagród. Na autorów prac wyróżnionych i nagrodzonych czekają również nagrody rzeczowe. Nie nagrody jednak lecz honor uporania się z trudnym zadaniem powinny przyświecać Twoim wysiłkom. Do pracy zabierz się dziś! Pamiętaj: na Twoje opowiadanie czekamy do dnia 15 kwietnia! Powodzenia życzy Ci

„ŚWIAT MŁODYCH"

To musi tkwić w środku

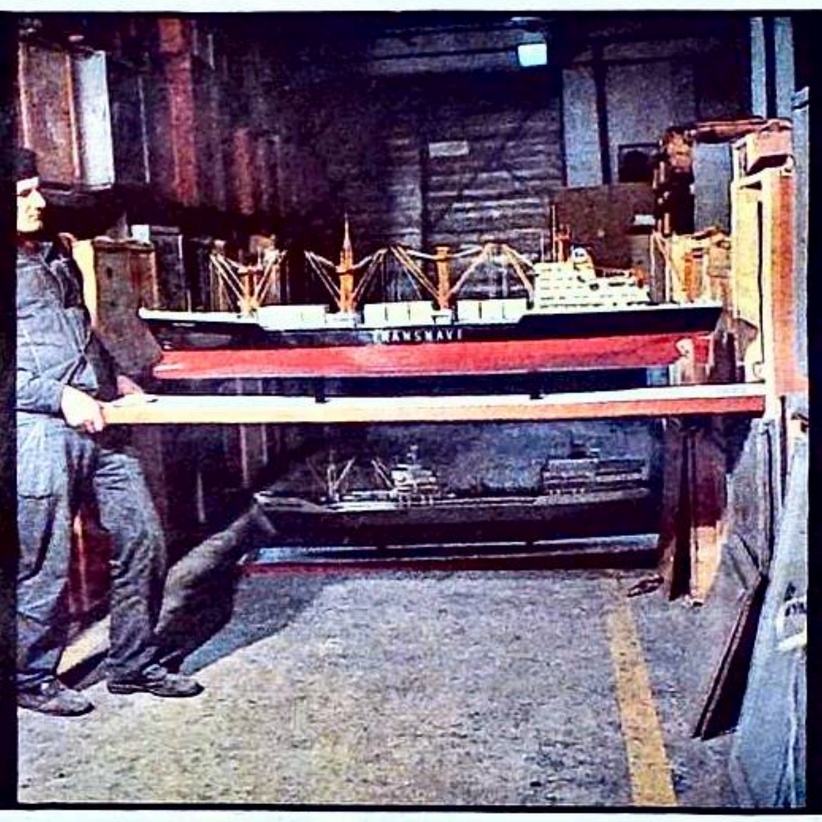

Koledzy? Jedni wzruszyli obojętnie ramionami, inni trochę się podśmiewali. Ani z zazdrości, ani z prawdziwej wesołości. Złośliwe uśmieszki, na które zdobywa się ktoś, kto czegoś nie rozumie, albo nie chce uwierzyć w to, co się do niego mówi. Sadowskiemu – usłyszał czasem zbyt głośno wypowiedziane zdanie – zabawek się zachciało, zdziecinniał chłop i kierownikowanie mu świta w głowie.

Nie zwracał na to uwagi. Był zdecydowany. Odchodzi ze stoczni. Pal sześć awans szykujący się lada dzień, pal sześć przestrogi; że w co się pcha, że zginie, nie da rady i jak niepyszny wróci na stare śmiecie. Podpisał podanie o przyjęcie na stanowisko kierownika modelarni i zaniósł je do dyrekcji.

– Trzeba inaczej powiedzieć – Franciszek Sadowski poprawia zaraz swoje słowa – nie tylko odchodziłem, a zamieniałem. Wielką stocznię na mikroskopijną modelarnię. Wielkie statki, na ich modele.

Nie wybierał łatwej drogi. Wiedział o tym doskonale. Gdy pracował na wydziale stolarskim w stoczni, ciągle przychodzili do niego z modelarni. A to po drewno, po trochę farby. Opowiadali, że zajęcie sami sobie muszą wyszukiwać, mało kogo obchodzi, czy modelarnia będzie istnieć czy nie, że najchętniej wszyscy pozbyliby się jej bez żalu.

Szybko przekonał się, jak sprawy miały się naprawdę. Kiedy usiadł za biurkiem kierownika okazało się, że w zeszycie z napisami „zlecenia" znalazł tylko czyste kartki.

Było źle, ale nie przejął się tym zbytnio. Nawet podobała mu się, że zaczyna od zera. Musiał potrząsnąć robotą, zdobyć zamówienia, dać ludziom zarobić. Może czuł się trochę jak dyrektor, który swoją energią, zapałem ma wyczarować coś z niczego. Może był zadowolony, że nareszcie nie ma na głowie nikogo, kto wydaje polecenia, nadzoruje, kontroluje każdy krok. Może... Sadowski niechętnie wraca myślą do tamtych dni. Było, minęło. A jeśli już tak nalegam, to może dodać tylko tyle: w prawdziwej stoczni czuł się jednym z tysięcy trybików ogromnej machiny. Robił to, co należało, ale nie odczuwał tego, że buduje statki. Tu w modelarni jest inaczej, tu wszystko dzieje się na jego oczach, z jego udziałem. Tu rozumie swoją pracę.

Zaczął od najprostszego posunięcia. Aż dziwne, że nikt przed nim nie wpadł na taki pomysł. Dał ogłoszenie do gazety: jest modelarnia – przyjmuje zlecenia – krótkie terminy. Coś w tym stylu. Po tygodniu nie wiedział co robić z ofertami. Mini-stocznia ruszyła pełną parą. Godzinami ślęczeli nad pierwszym modelem. Suchy dok, kopia pierwowzoru powstającego właśnie na pochylniach Stoczni im. Komuny Paryskiej. Nie mogli poradzić sobie ze sprzężeniem magnetofonu, z którego odtwarzano objaśnienia z równoczesnym oświetleniem elementów modelu. Czy dali radę? Dawno nie byłby kierownikiem, gdyby wtedy zrezygnowali.

Stoimy w magazynie, a Sadowski wskazując na rzędy dużych drewnianych skrzyń mówi: „Oto moja flota". I zaraz zaczyna się rewia statków. Wielki masowiec OBO, w rzeczywistości 105 tys. ton nośności. Model też prezentuje się okazale. Ale nieważna wielkość. Tu się liczy precyzja, każdy szczegół musi być dokładnie odtworzony, zachowana skala, kolory. Nie wszystko udaje się wyczytać z rysunków technicznych, ze zdjęć. Idą wtedy do portu, wszystko sprawdzają osobiście. Między prawdziwym statkiem, a jego modelem nie ma prawa być żadnej różnicy. Masowiec wydaje się niezbyt skomplikowany, ale na taką opinię może zdobyć się tylko laik. Bo na przykład pokrywy ładowni składają się z przeszło 200 części. Dalej baza rybacka – arcydzieło dokładności, jej pokłady są naszpikowane dziesiątkami urządzeń, dźwigów itp. Dokładność ma swoją cenę – model bazy kosztuje 280 tys. złotych.

Za kilka dni modele opuszczą Stocznię im. Conrada, która parę lat temu przygarnęła modelarnię. Ruszą w świat, na wystawy, na targi. Trafiają do biur i gabinetów dyrektorów linii żeglugowych. Wszędzie tam, gdzie są oferowane i kupowane polskie statki. Tak już bowiem jest, że w każdym niemal kontrakcie zawieranym przez nasze stocznie znajduje się klauzula: „dostawa jednostki obejmuje także jeden lub kilka jej modeli".

Są w czołówce – najnowsze typy statków opuszczające nasze pochylnie – stają się natychmiast chlebem powszednim tej najmniejszej z polskich stoczni. Dla jej kierownika i załogi to także powód dla takiej prywatnej, małej satysfakcji.

Model koniecznie musi być z drewna. Najlepsza olcha miękka, pozbawiona prawie słojów. To ważne, bo słoje trudno pokryć farbą, zawsze zostaje ślad. Budowę zaczyna się w prawdziwej stoczni. Modelarnia dostaje te same rysunki, wyliczenia, plany linii teoretycznych kadłuba. Tyle tylko, że w Komunie Paryskiej, czy w Stoczni im. Lenina przenosząc rysunki na blachy konstrukcji powiększa się dziesiątki razy wymiary elementów. Tu robi się odwrotnie – zachowując skalę, jeszcze się je pomniejsza.

Drewniany, wydrążony w środku kadłub przekazywany jest jednemu pracownikowi, który wyposaża go we wszystkie detale, nadaje modelowi ostateczny kształt. Kiedyś próbowali robić w modelarni coś w rodzaju taśmy. Każdy pracownik specjalizował się w wykonywaniu jednej czy kilku części – jeden montował tylko dźwigi, inny – sprzęt ratowniczy, inny – wyposażenie pokładu. Ale to nie zdało egzaminu. Zbyt dużo było niedokładności. Trzeba długiego czasu na to, by pracownik doskonale poznał wszystkie szczegóły wyposażenia. A musi znać je lepiej niż załoga prawdziwego statku. Inaczej model nie będzie tym, czym być powinien.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

Fot. **Marek Szymański**

REDAKCYJNA POCZTA

Czekam na listy

Jestem uczennicą pierwszej klasy szkoły ogrodniczej w Warszawie. Interesuję się zwierzętami – wprost uwielbiam je; nie da się tego niestety wyrazić na papierze. Po ukończeniu ósmej klasy miałam iść do szkoły hodowlano-drobiarskiej. Jednak rodzice stwierdzili, że mój stan zdrowia i wiek nie pozwalają mi jeździć codziennie do szkoły mych marzeń. Mimo wszystko, po ukończeniu nauki w ogrodniczej szkole, pragnę dostać się do hodowlanej, gdyż nie wyobrażam sobie dalszego życia bez zwierząt. Proszę Cię, Redakcjo, wydrukuj mój list, może dzięki Tobie znajdę przyjaciół o podobnych zainteresowaniach i celu w życiu. Liczę na to, że ktoś nawiąże ze mną korespondencję.

Monika Zienkowicz,

Między młotem a kowadłem...

Zwracam się do Was z pewnym problemem, który nurtuje mnie już od dawna. Chodzi mianowicie o ucieczki z lekcji. Jestem uczennicą wzorową, lubianą zarówno przez nauczycieli, jak i kolegów (przynajmniej tak mi się wydaje). Wiosną, w ubiegłym roku szkolnym uciekliśmy z historii. Trochę się bałam, ale poszłam ze wszystkimi. Na szczęście nie ponieśliśmy konsekwencji, gdyż nauczyciela tego przedmiotu również nie było w szkole. Obawiam się jednak, że pewnego dnia klasa znowu zechce „zwiać" z lekcji, na której będzie wykładowca. Co mam wtedy zrobić? Jeśli ucieknę, mogę stracić zaufanie nauczycieli, zostanę – koledzy odwrócą się ode mnie, nazywając „lizusem" itp. Wiem, że najrozsądniej byłoby przekonać klasę, że zwiewać nie ma sensu, bo i tak najwyżej odwlecze się klasówkę (przed sprawdzianem jest chyba najwięcej tych ucieczek), a można tylko narazić się na przykrości. Ale jak to zrobić? Mam pewien pomysł, nie wiem jednak, czy rozsądny. Jeżeli wie się naprzód, że „szykuje się" coś niedobrego, to na przerwie poprzedzającej lekcję, z której odbędzie się ucieczka, należy pójść do WC. W tym czasie, kto ma nawiać, nawieje, a na zajęcia można przyjść 2–5 min. po dzwonku. Nauczycielowi, którego zapewne zdziwi nieobecność reszty uczniów, można powiedzieć, że o niczym się nie wie, a kolegom wyjaśnić potem, że „nic nie wiedziałam o ucieczce, byłam w ubikacji". W ten sposób wilk będzie syty i owca cała. A może istnieje jakieś inne, lepsze wyjście? Dlatego proszę – wydrukujcie mój list, być może Czytelnicy zechcą się wypowiedzieć na ten temat i wspólnie znajdziemy jakąś radę.

„Elżbieta"

Czy muszą przezywać?

W naszej klasie panują głupie zwyczaje, przezywania się. Przezwisko posiadam także i ja. Jest ono bardzo brzydkie i świadczy o głupocie tych, którzy je wymyślili. A jest rozpowszechniane przez wielu uczniów naszej klasy, zarówno chłopców jak i dziewczęta. Próbowałam już wielu sposobów, aby temu zapobiec: rozmawiałam na ten temat z wychowawcą, nie reagowałam na przezwiska, ale to wcale nie pomagało. Poradźcie mi co dalej czynić.

„Ulka"

OD REDAKCJI: Piszesz Ulko, że przezwisko, którym Cię „obdarzono" świadczy o głupocie autorów. Niestety, na głupotę nie ma rady. Trzeba ją po prostu przetrzymać. Nadzieja w tym, że czas leci, a Twoim rówieśnikom przybywa lat. Powinno też przybywać rozumu. Nie zawsze jednak tak jest, dlatego jeszcze raz radzimy – uzbroj się w cierpliwość i – przetrzymaj. A swoją drogą zwracamy się do Czytelników – tych „obdarowujących" przezwiskami – czy naprawdę czujecie satysfakcję sprawiając przykrość innym? (wm)

PRZEPRASZAMY!

Rozszalał się ostatnio na łamach naszej gazety drukarski chochlik. W 7 numerze „Świata Młodych" autorce artykułu pt. „Było to dobrych parę wieków temu" (str. 2) – TERESIE MACISZEWSKIEJ zmienił nazwisko, a w numerze 9 w artykule pt. „Wizerunki w duchu epoki" zniekształcił podpis pod fotografią jednego z obrazów Józefa Simmlera. Powinien on brzmieć: „Te dziewczynki, to bardzo posażne warszawianki..." Autorki obydwu artykułów i Czytelników przepraszamy

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Przedtem Ania miała przyjaciółkę Giovannę (właściwie to była Joanna, ale dla fantazji...), rodziców, dziadków i czterech braci Li. Tak ich nazywała po przeczytaniu jakiejś książki o tak licznym rodzeństwie. Bracia jak to bracia. Mama nazywa ich „okropnymi chłopakami", nie wiadomo dlaczego. Ostatni Li jest liryczny, słucha muzyki Vivaldiego i twierdzi, że był to rudowłosy starzec, który kochał gwiazdy. Najmłodszy Li-Wojtek zbiera porcelanowe i gliniane słoniki i niedźwiedzie i chwali się nimi przed dziadkiem. Dwóch Li prawie wcale nie ma w domu, bo uczą się w innym mieście. Przywożą Ani od czasu do czasu coś miłego, np. tomik opowiadań o Muminkach. Zresztą całe ściany pokoju Anki powyklejane są podobiznami mordek Muminków. Najważniejszym pokojem w domu Ani jest tzw. „sala przyjęć elegantszych". W tym pokoju na ścianie wisi wielki dywan w dzioby ptasie i pegazy. Pośrodku stoi duży stół, a na nim najczęściej leżą winogrona, jeśli jest jesień, albo konfitury z czerwonych porzeczek. Dziadek najczęściej przesiaduje przy stole lub przybija na drzwi różne hasła, wycięte z gazet, w stylu „Co daje szklanka mleka?" Mama na to krzyczy, ale dziadkowi tak jest weselej. Babcia najczęściej szyje wtulona w olbrzymią czerwoną kanapę.

Do tego pokoju często ktoś przychodzi. Czasem zdarza się, że kilku ludzi rozmawia w jednym czasie na różne tematy. Sąsiadka spod trójki mówi z babcią, mama z elektrykiem, który przyszedł coś naprawić, najstarszy Li wymienia z kolegą najnowsze płyty, przychodzi Giovanna...

Przedtem Ani wydawało się, że nie ma chyba weselszego domu niż ich, oprócz oczywiście tych chwil, kiedy ktoś chorował lub się posprzeczał.

Andrzeja poznała całkiem przypadkowo. Biegła do Giovanny. Miały posiedzieć nad rzeką. Śpieszyła się i nagle wpadła na jakiegoś dryblasa w podwiniętych do kolan spodniach i wypłowiałej koszuli. „Co się wygłupiasz, mała?" – krzyknął najpierw, a potem pomógł Ance wstać, bo z tego rozpędu upadła w nadrzeczny piasek. I poszedł. Powoli ze spuszczoną głową. Ance przypominał najstarszego Li i pobiegła go przeprosić. Zaczęli rozmawiać. Powiedział, że nad rzekę przychodzi co dzień i jutro będzie czekał.

Na drugi dzień poszła nad rzekę. I wtedy Andrzej dał jej kwiatek. To był jaśmin. Potem dawał go codziennie, gdy się spotykali.

Anka zastanawiała się, dlaczego Andrzej nie opowiada jej nigdy o swoich rodzicach, o rodzeństwie, o domu. Milczał na te tematy. Nigdy nie zaproponował, by go odwiedziła, choć dał jej swój adres. Mieszkał w dzielnicy po drugiej stronie rzeki. Często mówił „Teraz mieszkam tu, a co będzie jutro – nieważne" i uśmiechał się, a Anka nie wiedziała czy może dalej pytać.

Raz postanowiła zaprosić go do siebie. W „sali przyjęć" na stole postawiła sok z czereśni. W domu byli dwaj braci Li. Średni – Piotrek wyklejał ściany swego pokoju zdjęciami Zuzy, w której się ostatnio podkochiwał. Zuza lubiła biedronki, więc Li malował na kartonie olbrzymie, czerwone biedrony, które też zamierzał umieścić w pokoju chłopców...

Andrzej przyszedł jak zwykle w wypłowiałej koszuli z niewyraźnym, trochę zdziwionym spojrzeniem.

Babcia zapytała „Jak się kawaler czuje?" i poczęstowała go swojego wypieku słodkimi bułkami. Wojtek wpakował mu się na kolana i prosił o bajkę.

Ania bała się, że może Andrzejowi nie spodoba się tu, ale on był zadowolony, jak nigdy. Tylko, gdy wychodził, spojrzał trochę smutno na duży pokój.

Tego popołudnia nie było nikogo w domu. Anka wyszła do sklepu. Nagle postanowiła, że odwiedzi Andrzeja. Była blisko jego domu, a nie widzieli się kilka dni. Z łatwością odnalazła drzwi jego mieszkania. Zapukała.

– Czy to mieszkanie państwa Paźniewskich? – zapytała młodej kobiety.

– Pomyłka, panieneczko – usłyszała i zobaczyła zamknięte drzwi.

Wracała do domu zdenerwowana. Czy Andrzej ją okłamał i dlaczego? Tego wieczoru nie rozmawiała z babcią, ani nie próbowała żartować z braćmi Li.

Na drugi dzień przyszedł Andrzej. I wtedy opowiedział jej o sobie. O matce, która go nie chciała, o dzieciństwie u babki na wsi, o ciotce, u której teraz mieszka. Sypia na składanym łóżku w kuchni i czeka, kiedy otrzyma miejsce w internacie tutejszego technikum. Ciotka nie wpuściła Anki do środka, bo nie lubi gdy Andrzej kogoś przyjmuje. Andrzej nie powiedział o tym Ance, bo bał się, że ją zniechęci do siebie. Ona była pierwszą dziewczyną, która chciała go poznać – jego – wyrostka w przyniszczonym ubraniu.

Od tej chwili minął rok. Kiedy czasem zaglądam do Ani do „sali przyjęć elegantszych" mogę spotkać, siedzących na dużej, czerwonej kanapie pod oknem: Ankę, Andrzeja, jego kolegę z internatu – Józka, Giovannę, któregoś z braci Li. Wojteczek, jeśli go tylko w tym czasie nie boli brzuszek, rozwłóczy po pokoju olbrzymie, kartonowe biedronki. Babcia, przed każdym tego typu spotkaniem piecze słodkie bułki z rodzynkami i wszystkich nimi częstuje.

Ostatnio przybył tam jeszcze kot – mały i biały. Bardzo głośno mruczy i jest podarunkiem dla Ani od Andrzeja.

BARBARA GRUSZKA

KALEJDOSKOP 4

UFO W ZASTĘPIE

Wszystko zaczęło się od tego, że któraś z dziewcząt zaczęła czytać książki fantastyczne, a później w radio, telewizji, prasie, stały się popularne rozmowy o UFO. Pisali i mówili, że ktoś tam widział jakiegoś zielonego ludzika, jakieś dziwne stworzonko...

Dziewczęta z zastępu kl. VI w Szkole Podstawowej nr 1 w Czeladzi, same postanowiły spotkać niezidentyfikowane obiekty latające i pewnego dnia zamiast na zbiórkę, wybrały się na górkę za miasto i przez godzinę wypatrywały UFO, ale nic nie zobaczyły.

Później śmiały się ze swojego poszukiwania przygody i nazwały swój zastęp „Przygoda", a o swoich zainteresowaniach kosmosem też nie zapomniały. Zorganizowały w zastępie „Kółko Młodych Kosmonautów". Na zbiórki przyniosły książki popularnonaukowe, fantastyczne, wycinki z gazet, mówiące o locie Polaka w kosmos, o nowych osiągnięciach kosmonautyki i o... zielonych, tajemniczych ludzikach.

Mimo że tak naprawdę nie wierzą w istnienie tajemniczych nieznajomych z innych planet, jednak pozwoliły puścić wodze swej fantazji i na zbiórkach zaczęły pisać opowiadanie fantastyczne: „Kosmiczne przeżycia Ani i Beaty". Było tam o podróży na nieznaną planetę i spotkaniach z nieznajomymi MARSO-UFO.

Zorganizowały konkurs na rysunkowe opowiadanie o tematyce fantastycznej. Zwyciężyła opowieść o przybyszu z kosmosu, który zaprzyjaźnił się z Ziemianami. Wciąż pasjonują się UFO, dlatego w archiwum zastępu można znaleźć mnóstwo rysunków przedstawiających zielone stworzenia. I czekają na nowe pasjonujące wieści z kosmosu. (**bg**)

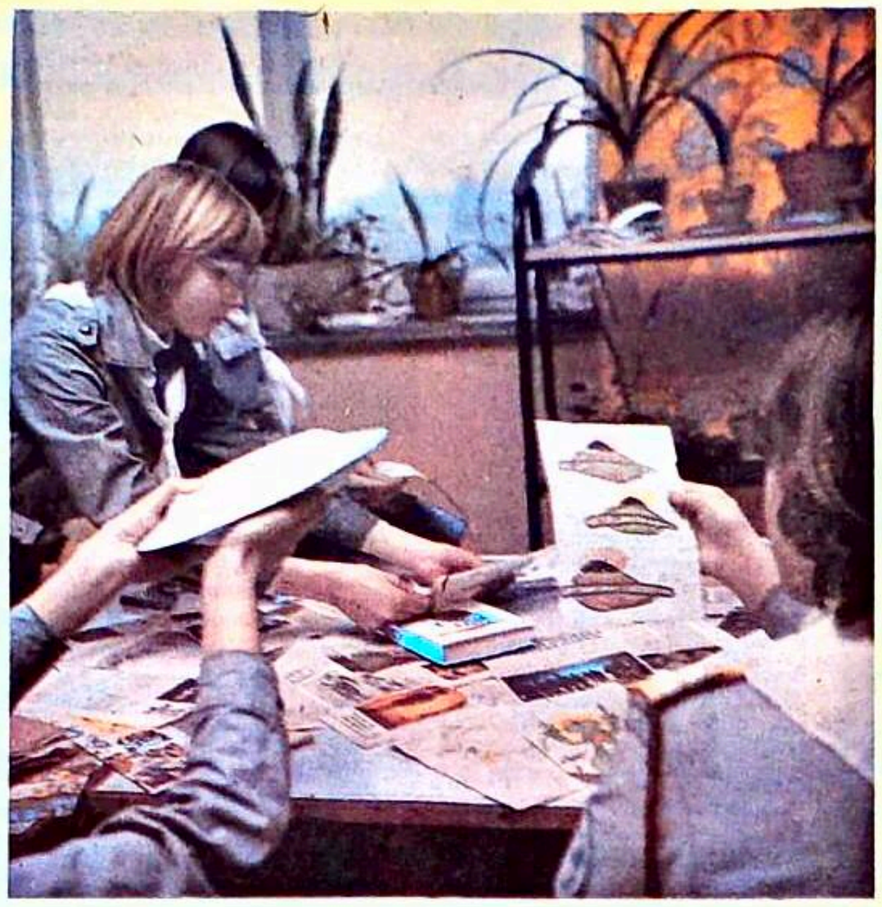

Fot. **Z. Bisanz**

Nasz kandydat na Lake Placid

TRUDNA ROLA MISTRZA

Józef Łuszczek, mistrz świata, na starcie do jednego z biegów. Jak wypadnie podczas XIII igrzysk?

Panuje opinia, że ostatnie mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym można było porównać do „teatru jednego aktora". Jest w tym wiele prawdy. W fińskiej miejscowości Lahti Polak **Józef Łuszczek** zdeklasował rywali. W nieoficjalnej punktacji wszystkich konkurencji biegowych nasz zawodnik zajął zdecydowanie przodującą pozycję. Aby nie być gołosłownym przypomnijmy jego osiągnięcia.

DYSTANS 15 KM: I miejsce. Jednak ważna jest tu nie tylko lokata. Fachowcy dyskutują do dziś nad sposobem wywalczenia złotego medalu przez pochodzącego z Zakopanego narciarza. Otóż na końcowych kilometrach nie tylko doścignął on uciekającą czołówkę, ale nawet potrafił nadrobić w stosunku do prowadzącego bieg zawodnika ZSRR Bielajewa aż 11 sek., zaś w stosunku do Fina Mieto 20 sek.! Podobnych wypadków nie odnotowano w kronikach żadnych innych mistrzostw.

DYSTANS 30 KM: medal brązowy.

DYSTANS 50 KM: VII miejsce. Dla znawców maratońskich biegów narciarskich to ostatnie osiągnięcie Łuszczka stanowi wyczyn wartościowszy aniżeli pierwsza lokata na 15 km. Z wielu powodów. Wymieńmy tylko dwa. Polak wystartował do tej konkurecji niemal nazajutrz po wyczerpujących biegach na krótszych dystansach. Nie był więc w pełni sił. A dodajmy, że wielu jego rywali długo i starannie przygotowywało się tylko do maratonu. Po drugie Polak wystartował, wbrew sugestiom kierownictwa ekipy i trenera Edwarda Budnego, z odmrożoną twarzą i palcami rąk. Wystartował dlatego, gdyż wiedział, że telewizja polska transmitować będzie przebieg walki, a on jako reprezentant kraju nie mógł zawieść swoich sympatyków...

Sporo czasu upłynęło od pamiętnych wyczynów zakopiańczyka. Ale w jego życiu nic się nie zmieniło. Nadal trenuje pod okiem Budnego, nadal potrafi pokonywać dziennie po 80 km! Nie liczy ich zresztą, zdaje jednak sobie sprawę, że uzbierało się tych kilometrów dużo więcej aniżeli obwód ziemskiej kuli.

Ma wprost niespożytą energię. Jak wykazały prowadzone badania laboratoryjne wydolność organizmu naszego mistrza świata jest ewenementem; jedną z najwyższych, jakie zna medycyna sportowa. Wie o tym dobrze Józef Łuszczek, ale zdaje sobie sprawę, że olimpijskiego medalu w laboratorium się nie zdobywa. Dlatego nie liczy przebiegniętych kilometrów, ilości podniesionych w siłowni kilogramów. W Lake Placid z mistrzem będzie chciał wygrać każdy i każdego uwaga też skierowana będzie na niego.

Budny i Łuszczek współpracują ze sobą od pięciu lat. Szczęśliwie się złożyło, że tych dwoje twardych i upartych ludzi trafiło na siebie (Budny również należał do światowej czołówki narciarzy klasycznych). Na siebie więc tylko liczą i o sobie wszystko wiedzą. Wiedzą także i o tym, że historią żyć nie można. Na kilka dni przed otwarciem XIII Zimowych Igrzysk trudno powiedzieć czy w Lake Placid Józef Łuszczek sięgnie po jeszcze jeden medal. Ale pewne jest, że zakopiańczyk potrafi się skoncentrować i – co chyba ważniejsze – nie wątpi w efekty włożonego w treningi nakładu energii. Z walki, o czym mogliśmy przekonać się wielokrotnie, też łatwo się nie wycofuje.

Jest znowu w formie. W wielkiej formie są także Norweg Ove Aunli, Szwed Thomas Wassberg, Amerykanin Bill Koch, Fin Jonko Lilieroos, nie mówiąc już o zawodnikach radzieckich: Sergieju Sawieljewie czy też Nikołaju Zimiatowie... Wszyscy wyposażeni w superdoskonałe narty firm „Kneissla", „Fischera" i „Karhu", w superśliskie smary „Swixa" i „Rexa", będą walczyć o olimpijskie „krążki". (**zp**)

Fot. **E. Warmiński**

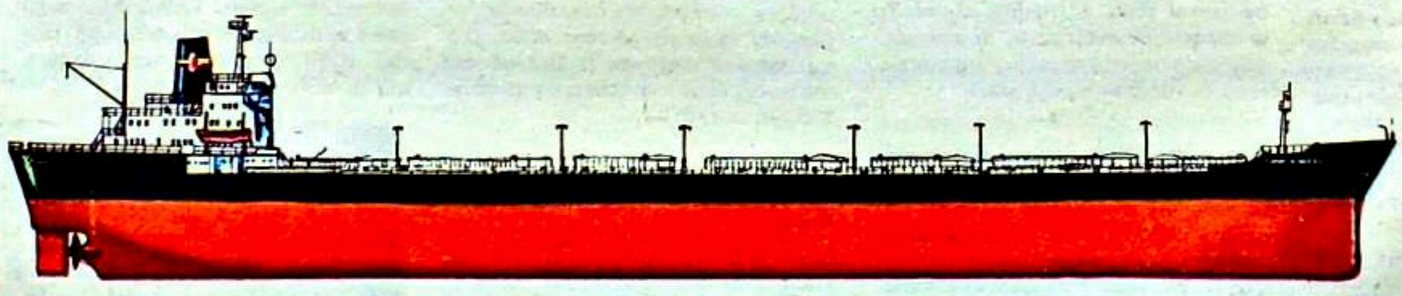

M/S „UNIWERSYTET WROCŁAWSKI"

W latach 1971–1974 Polska Żegluga Morska zakupiła w Danii pięć masowców uniwersalnych produkowanych seryjnie przez stocznię w Kopenhadze. Są to: m/s „Uniwersytet Jagielloński" (wszedł do eksploatacji w listopadzie 1971 r.), m/s „Uniwersytet Toruński", m/s „Uniwersytet Warszawski", m/s „Uniwersytet Gdański" oraz zbudowany w 1974 r. m/s „Uniwersytet Wrocławski". Jednostki te eksploatowane są w trampingu oceanicznym w przewozach węgla, rudy oraz surowców chemicznych.

Długość całkowita m/s „Uniwersytet Wrocławski" wynosi 218,76 m, szerokość – 30,56 m. Zanurzenie – 14,04 m. Pojemność – 30244 BRT. W jego siedmiu ładowniach mieszczą się 22293 tony rejestrowe węgla lub innych ładunków masowych, tyle, ile mógłby zabrać pociąg złożony z 928 dużych wagonów do przewozu węgla. Nośność – 52020 DWT. Może rozwijać prędkość do 15,5 węzła. Napęd stanowi jeden silnik spalinowy o mocy 14600 KM. W siłowni wydzielona jest kabina manewrowo-kontrolna, mająca własne urządzenia klimatyzacyjne i skuteczną izolację dźwiękochłonną. Tu również znajdują się urządzenia do zdalnego sterowania silnikiem. Załoga składa się z 45 osób.

Wszystkie pomieszczenia mieszkalne i biurowe usytuowane są w nadbudówce rufowej. Załoga mieszka w jednoosobowych kabinach. Kabiny oficerskie posiadają łazienki z natryskiem oraz WC, kabiny pozostałe – umywalki. Na statku znajduje się świetlica oraz ciemnia fotograficzna.

M/s „Uniwersytet Wrocławski" jest pierwszym statkiem jaki obsłużono w Porcie Północnym w Gdańsku. Miało to miejsce w dniu 18 lipca 1974 roku.

Rys. **Marek Soroka**

8

KUPON KONKURSOWY

WYTNIJ, ZACHOWAJ

„Świat Młodych"

PTTM

SKRZYNKA ZAUFANIA

NIEŚMIAŁOŚĆ

„Proszę Was o pomoc w sprawie dla mnie bardzo trudnej. Jestem nieśmiały. Mam 15 lat, a właściwie prawie już 16 i sądząc po wieku moje reakcje i zachowanie powinny być „dorośiejsze". Uważam, że nie jest to normalne, jeśli 16-letni chłopak czerwieni się z byle powodu, traci mowę w sytuacjach ważnych życiowo. I klasa liceum była dla mnie koszmarem. Chociaż wielokrotnie miałem coś do powiedzenia na lekcjach w żaden sposób nie mogłem zmusić sam siebie do podniesienia ręki. Gdy nauczyciele wyrywali mnie do odpowiedzi przeżywałem tortury czując spojrzenia całej klasy na sobie i traciłem zupełnie głowę. Teraz jest dużo lepiej, przyzwyczaiłem się do kolegów, koleżanek, nauczycieli i nie czuję przed odpowiedzią tego paraliżującego lęku. Ale są ciągle jakieś nowe sytuacje, kiedy moja nieśmiałość znowu się odzywa. Na przykład spotkania towarzyskie. Z podziwem patrzę na chłopaków, którzy błyszczą dowcipem, elokwencją. Ja, gdy widzę kilka nie znanych mi twarzy, chociaż też bardzo bym chciał się popisać, nie mam zupełnie nic do powiedzenia. Czy mam szansę skończyć kiedyś z tą moją nieśmiałością?"

Włodek

Nie odpowiemy, Włodku, wprost na pytanie, które stawiasz w swoim liście. Przedstawiamy Ci natomiast wypowiedzi trzech osób, w różnym wieku, wykonujących zawody, w których – wydawałoby się – nie może być miejsca na nieśmiałość. Nie będziemy ukrywać, że osoby zaproszone do rozmowy wybrane były nieprzypadkowo lecz tendencyjnie – podejrzewaliśmy je o nieśmiałość. Ale oddajmy im głos.

Osoba Pierwsza, dyrektor zakładu przemysłowego, 57 lat:

Co to jest nieśmiałość? Trudno mi to sprecyzować. Nieśmiali są ludzie, którzy – mając coś do powiedzenia – nie ujawniają się. Jeśli jednak człowiek nieśmiały jest ambitny, to ma wówczas duże szanse na opanowanie tej nieśmiałości. Wiara w to, że moje działanie ma sens, potrzeba, by to działanie widzieli i ocenili inni – są to sytuacje, które mobilizują do wyjścia na zewnątrz, do pokazania się. Walka z nieśmiałością jest czasami walką o byt, o zdobycie pozycji w społeczeństwie. Byłem nieśmiały, może jeszcze niekiedy jestem. Uważam, że nieśmiałość przeszkodziła mi w życiu, zahamowała pewien rozwój, nie pozwoliła z lekkością i bezpośredniością załatwić wiele spraw, które takiej właśnie lekkości wymagały. Nieśmiałość jest cechą, której sobie nie wybieramy, ale nie można się jej poddać, jeśli już jest obecna w naszym życiu. Ja pokonywałem ją metodą wewnętrznych monologów, w których przekonywałem sam siebie, że w tej konkretnej sytuacji muszę wyjść naprzeciw sprawom, bo ucieczka będzie przegraną. I okazało się, że czym więcej było tych udanych prób, tym chętniej je podejmowałem.

Osoba Druga, aktor, 32 lata:

Aktor na scenie ma zupełnie inne bariery do pokonania niż w życiu osobistym. Na scenie człowiek jest ukryty za reżyserem, wyuczonym tekstem i dekoracjami. Sytuacja na scenie jest sytuacją ustawioną, wyćwiczoną na próbach, choć też oczywiście nieobce są tu lęki zwane powszechnie tremą. Ale nieśmiałość to co inego. Nieśmiałość moim zdaniem to jest lęk przed nie zaakceptowaniem mojego ja. Jestem nieśmiały, ale wiem, że jeśli sytuacja życiowa koniecznie tego wymaga, to przełamuję tę nieśmiałość. Mogę mówić tylko o sobie, bo znam problem tylko od swojej strony. Istnieje we mnie kilka rodzajów nieśmiałości. Inna odzywa się wtedy, gdy jestem z dziewczyną, która mi się podoba, a zupełnie inna, gdy jestem w towarzystwie autorytetu, osoby, z której zdaniem bardzo się liczę. Pamiętam moje pierwsze spotkania z dziewczętami – potwornie się czerwieniłem. Pokonałem tę słabość w następujący sposób. Ilekroć zbliżało się „zagrożenie" mówiłem sobie w duchu: aha, za chwilę zrobię się czerwony jak burak. I pomogło, po pewnym czasie przestałem się czerwienić. Niekiedy nieśmiałość może pomóc w życiu – wzbudza sympatię, wyzwala instynkty opiekuńcze. Osoby nieśmiałe mają opinię ludzi delikatnych i wrażliwych.

Osoba Trzecia, nauczycielka w LO, 26 lat:

Jestem onieśmielona, gdy wchodzę do klasy, czuję na sobie wszystkie oczy – wydaje mi się, że oceniają mój strój, czyhają na moje potknięcia, błędy językowe. Początki mojej pracy w szkole były bardzo trudne, ale z pomocą przychodzi rutyna. Myślę, że niektórzy uczniowie wiedzą o tym, że jestem nieśmiała, z tymi mam najwięcej kłopotów – potraktowali to jako moją słabość. Co to jest ta nieśmiałość? Określiłabym to jako odbieranie rzeczywistości w strzępach: widzi się poszczególne rzeczy i nie można w tej rzeczywistości znaleźć dla siebie miejsca: reaguje się więc lękiem, zamknięciem się w sobie, a nawet atakiem, bo atak to też jest czasem forma nieśmiałości. Wydaje mi się, że moja nieśmiałość przeszkadza mi i pomaga w życiu. Brak nieśmiałości pozwala być, dostrzegać. Nieśmiałość natomiast pozwala widzieć ostrzej i nazwać celniej. Jest chyba pozytywnym uczuciem, bo przełamanie jej daje głębsze poznanie. Nie chodzi o to, żeby z nieśmiałością walczyć, ale o to, żeby dało się z nią żyć w miarę dobrze i wygodnie. Przede wszystkim trzeba ją dostrzec, zaakceptować, uznać za składnik swojej osobowości i w końcu nauczyć się nad nią panować i wykorzystywać dla siebie.

Może, któraś z tych wypowiedzi pomoże Ci, Włodku, poradzić sobie z Twoją nieśmiałością, może któraś z prezentowanych tu postaw stanie się także Twoją. Osoby z którymi rozmawialiśmy prosiły nas o nie ujawnianie ich nazwisk. Może wynika to też z ich nieśmiałości?

Notowała: **HANNA MIERZEJEWSKA**

Tam, gdzie 50 wieków temu wapień dobywano

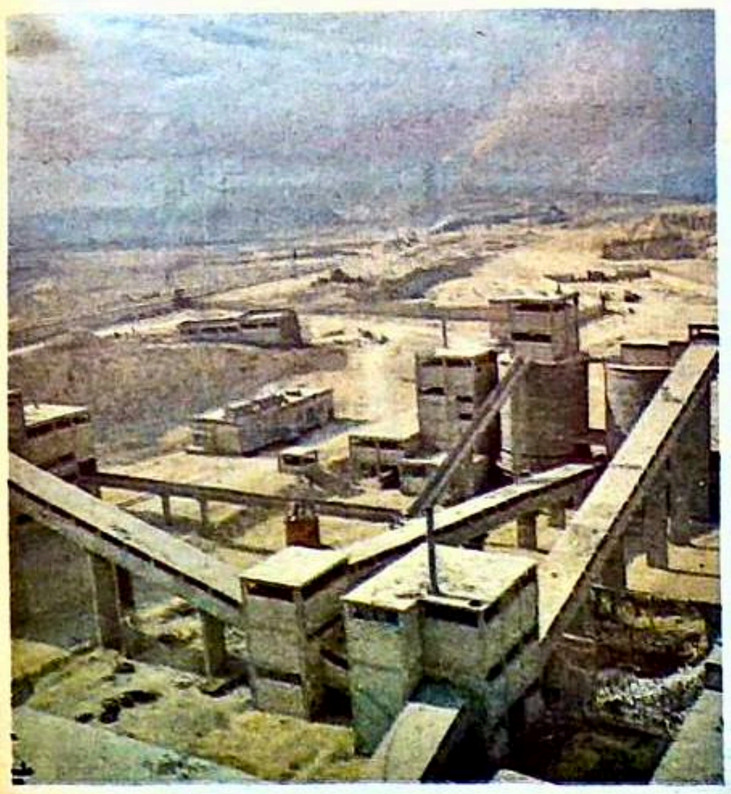

▲ *Z egipskim kierownictwem polscy inżynierowie omawiają szczegóły rozpalenia pieców wapiennych. Drugi od lewej inż. Wiesław Szaniawski – nasz przewodnik po budowie*

◀ *Główna część zakładu wapienniczego w Turah*

Piece wapienne są już gotowe do uruchomienia ▼

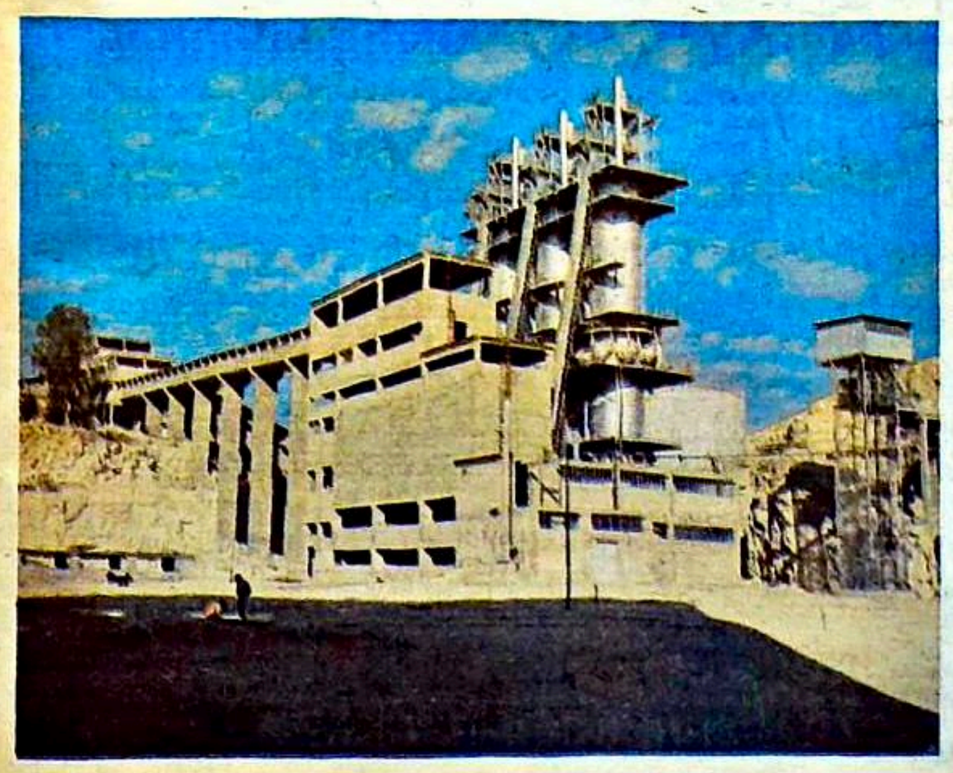

To było nieoczekiwane spotkanie. Ledwie wychyliliśmy się za opłotki Kairu, po 15 km jazdy, trafiliśmy do rodaków. Do polskich inżynierów, którzy już kilka lat przebywają w niewielkiej egipskiej miejscowości Turah. Nadzorują tu budowę zaprojektowanego przez naszych konstruktorów zakładu wapienniczego. To już końcówka roboty. Za kilka miesięcy nastąpi rozruch trzech dużych pieców do wypalania wapna. W ciągu doby wytwarzać będą 210 ton surowca, który wykorzystany zostanie w pobliskiej cementowni – największym tego typu zakładzie nad Nilem.

Szef polskiej ekipy, inż. Wiesław Szaniawski, oprowadził nas po terenie budowy. Krajobraz trochę niesamowity: spowite kurzem stare wyrobisko, na dnie którego stoją proste i nowoczesne budynki wytwórni. Łączą je długie linie taśmociągów. Kamieniołom w Turah istniał już w czasach faraonów. Są dowody na to, że wydobywano tu skałę już 5 tys. lat temu. Znalazła ona zastosowanie do budowy piramid, monumentów i sarkofagów starożytnego Egiptu.

Polskie maszyny i praca naszych inżynierów otwierają w Turah nową epokę.

(kp)

Fot. **Ryszard Szaniawski**

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

W skład 20-osobowego jury weszli przedstawiciele „Pionierskiej Prawdy" i innych dziecięcych gazet radzieckich, członkowie moskiewskiego oddziału Związku Plastyków oraz przybyli na tę okazję do Moskwy artyści plastycy z Bułgarii, Jugosławii, NRD, Polski, Rumunii, Węgier i Wielkiej Brytanii.

Pierwszy przegląd dokonany przez redakcję „Pionierskiej Prawdy" wyłonił 20 tysięcy najciekawszych prac, które dostarczyły materiału do interesującej dyskusji nad wysokim poziomem i różnorodnością stosowanych technik plastycznych. Zachwycały przepiękne polskie wycinanki, delikatne w rysunku tkaniny batikowe z Węgier, Singapuru i Indii, egzotyczna tematyka pasteli z Tajlandii i Japonii, zdumiewały barwnością rysunki dzieci z Bułgarii, Cypru, Wielkiej Brytanii i innych krajów.

Zakres tematów obejmował sport, zabawę, naukę w szkole, życie codzienne i zwyczaje ludowe. Przed oczami jury przewinęły się różnorodne techniki plastyczne. Od rysunku i akwareli, przez pastele, gwasze, wyklejanki, do ekspresyjnych grafik i delikatnych haftów i tkanin. Wiek uczestników konkursu wahał się w granicach od 4 do 16 lat. Ze szczególną uwagą rozpatrywane były obrazki najmłodszych.

Po trzydniowych obradach jury wybrało najciekawsze prace. Wynikiem konkursu będzie wielka wystawa w moskiewskiej Szkole Sztuk Plastycznych. Wszystkie kraje, które nadesłały obrazy, będą tam miały swoją godną reprezentację.

Wystawa rysunków dziecięcych otwarta będzie w czasie trwania Olimpiady i będzie jedną z wielu imprez kulturalnych towarzyszących Igrzyskom.

SZARLOTA PAWEL
Fot. autorki

Wielki Międzynarodowy Konkurs Rysunków Dziecięcych

„TAK WIDZĘ ŚWIAT"

Najgorszych stresów dostaje się z powodu nienormalnej pogody. To znaczy – normalnej, tylko, że jeśli przedtem nienormalna uważana była za normalną, to teraz jak jest normalna... Uff! Chodzi po prostu o to, że przez parę lat nie było żadnej zimy i nie było sprawy. Rzecz była jasna – żadne narty, sanki, łyżwy nie wchodzą w grę, nie ma na co liczyć, człowiek spokojnie może spędzić ferie przed telewizorem bez specjalnych wyrzutów sumienia. W zeszłym roku zrobiła się co prawda w zimie zima, ale siłą rozpędu też bez nart, sanek i łyżew. Nikt się nie spodziewał, więc nikt się nie przygotował. Tylko moja mama bolała, że jaki to pech – tyle śniegu, a ja z niego nie korzystam. Więc w tym roku zostałam przewidująco wyekwipowana w zimowy rynsztunek – dostałam od mamy na gwiazdkę łyżwy. Z butami, a jakże, białymi – prosto do lodowej rewii mogłabym się z nimi zaangażować, gdyby moje kwalifikacje łyżwiarskie na to pozwalały.

No, ale kwalifikacje, to ja mam dopiero nabyć. Na razie nie miałam okazji. Bo niby łyżwy mam, mróz trzyma, ale... lodu brakuje. Na staw w końcu nie pójdę, bo i lód taki bardziej krzywy na nim jakby, a w ogóle naczytałam się bez liku ostrzeżeń, żeby na zamarznięte stawy nie wchodzić. Tym bardziej na nasz, głęboki jest na parę metrów, nie miałabym odwagi. Zresztą, jak na razie brakowało mi również nieco czasu. Koniec semestru, to przecież nie przelewki!

Nie wiem jednak, czy w czasie ferii będzie ku ćwiczeniom łyżwiarskim okazja. Co prawda w naszej szkole mówiło się o potrzebie wylania na boisku lodowiska, ale... są obawy, czy warto. No, bo jak przyjdzie odwilż, to z lodu nici a na boisku będzie tylko kałuża. Więc po co robić kałużę?! Rzeczywiście, kałuży robić nie ma żadnego sensu. Gdyby jednak miał być mróz... Ba, ale tego nikt na pewno nie wie. Na razie jest, trzyma od dosyć dawna, ale... czynniki pogodoznawcze (z naszej szkoły) twierdzą, że od zbyt dawna, aby miało to jeszcze dłużej potrwać. Więc lodu się nie wylewa. I pewnie do końca ferii się nie wyleje, bo czym dłużej jest mróz tym mniejsza szansa, że jeszcze dalej będzie.

Logiczne, nieprawdaż?! Ale człowiek nabawia się stresów. Bo jeśli zima się utrzyma, będzie miał wyrzuty sumienia, że nowych łyżew nie wykorzystał. A jeśli zima się nie utrzyma, będzie mu żal pieniędzy wydanych niepotrzebnie na łyżwy. I tak źle, i tak niedobrze. A wszystkiemu winna jest nienormalna pogoda. Bo póki w porze zimowej nie było wcale normalnej zimy, to wszystko było w porządku, nie?!

ANKA

Konkursowe piosenki na płytach

O radiowym konkursie na piosenkę dla młodzieży pisałem nieraz, wszak w roku ubiegłym organizowano go po raz siódmy. Współorganizator – Tonpress od dwóch lat wydaje piosenki laureatki na płytach. Zapamiętajcie więc symbol S-177; znajdziecie na tym singlu „Przepis na świat" i „Zwykły list, choć wiersz", czyli dwie pierwsze nagrody ostatniego konkursu (nuty i słowa drukowaliśmy w Świecie Muzyki). „Przepis na świat" nagrał zespół „BAJM", „Zwykły list, choć wiersz" Maria Jeżowska i Wiesław Chojnacki. Dodam, że duet ten otrzymał dodatkową nagrodę za najlepsze wykonanie piosenki konkursowej. Na innym singlu, oznaczonym symbolem S-178 otrzymujecie piosenkę „Najważniejsze są nasze marzenia" w interpretacji Renaty Danel. Jeszcze jeden symbol do zapamiętania: S-295 z piosenką poprzedniego konkursu „Szkoda każdego dnia" w wykonaniu zespołu „Homo Homini". Przy okazji informuję o innych, ciekawych płytach Tonpressu – więc: zwolennicy Muzyki Młodej Generacji kupią zapewne nową płytę grupy „Krzak" (Czakuś/Maszkaron), muzyki disco znad Dunaju – Neoton Familia (Let's Go Dancing/Hear Me), piosenki czeskiej – Vaclava Neckara (Dite snu/Nautilus), polskiego rocka – „Budkę Suflera" po zmianach personalnych (Sekret/Motyw z Jasnorzewskiej), rodzimego jazz-rocka wracających na estrady „Dżambli" (Szczęście nosi twoje imię/Lady love).

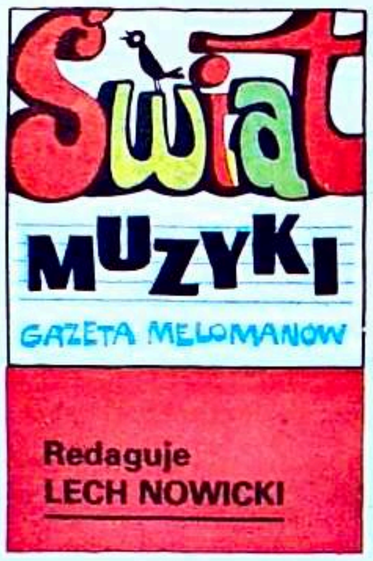

STOKROTKI

Bodaj dwa lata temu przedstawiałem w Świecie Muzyki chór „Jutrzenka" z niemenczyńskiej szkoły średniej. Ostatnio otrzymałem list od kierownika chóru, nauczyciela śpiewu – Jana Mincewicza, który informuje o utworzeniu zespołu wokalnego „Stokrotki", właśnie z „Jutrzenki". Śpiewają w nim: Jola Gasperowicz, najmłodsza uczestniczka, Lila Klonowska, solistka „Stokrotek", wzorowa uczennica, Danka Komar, Lusia Balciul, Jadzia Pszczołowska, próbująca dziennikarki – jest korespondentką pisma „Zastępy", Tania Łukszo, Halina Pawiłowska i Regina Żardzina. Dziewczęta dwukrotnie stały przed kamerami republikańskiej telewizji w ramach konkursu „Dainu dainele", brały udział w Republikańskim Konkursie Polskiej Piosenki Estradowej. Z piosenek polskich najbardziej lubią śpiewać przebój Włodzimierza Korcza „Gra w kolory". „Stokrotki" przyjaźnią się z cieszyńskimi „Wiolinkami". W styczniu zespół występował w Polsce.

ŚMIERĆ SOŁOWIOWA-SIEDOJA

Niedawno zmarł Wasilij Sołowiow-Siedoj, popularny w naszym kraju kompozytor dzięki takim piosenkom jak „Wieczór na redzie", „Słowiki" – te pamiętają wasi rodzice oraz „Podmoskiewskie wieczory", „Czas w drogę", „Dawno nie byliśmy w domu", „Pieśń o Leningradzie". Urodzony w roku 1907 Sołowiow-Siedoj ukończył leningradzkie konserwatorium i zaczął komponować jeszcze przed wojną. Jednak sławę przyniosła mu twórczość z okresu II wojny światowej. To właśnie wtedy powstały „Słowiki" i „Wieczór na redzie". Wyróżniony tytułem Artysty Ludowego i Nagrodą Leninowską za twórczość w dziedzinie piosenki, miał w swoim dorobku większe formy muzyczne: balet „Taras Bulba", operetki „Wierny przyjaciel" i „Najwdzięczniejsze" a także muzykę do znanego w Polsce filmu „Śluby kawalerskie".

BABADŻANIAN O PIOSENCE

Arno Babadżaniana, autora koncertów fortepianowych, skrzypcowych i wiolonczelowych, ballady heroicznej na fortepian i orkiestrę, kantat i muzyki filmowej, znamy przede wszystkim jako twórcę piosenek. Właśnie na temat piosenki wypowiedział się niedawno na łamach jednego z tygodników radzieckich...

– Co Pan rozumie pod pojęciem „dobra piosenka"?

– Pierwszą piosenkę napisałem, można powiedzieć, niejako pod przymusem. W studiu „Armenfilm" kręcono obraz „W poszukiwaniu adresata", do którego zaproponowano mi napisanie muzyki. Trzeba więc było opanować nowy gatunek. Później przyszedł następny film „Piosenka pierwszej miłości", gdzie muzyki było wyjątkowo dużo. Myślę, że właśnie on dał początek moim zainteresowaniom piosenką. Co to znaczy dobra piosenka? Moim zdaniem piosenka jest reportażem z miejsca wydarzeń, utrwalającym przeżycia, jakie chciałoby się zachować w pamięci. Musi ona mieć swoją linię melodyczną, punkt kulminacyjny i ładunek emocjonalny. Mówiąc krótko: dobra piosenka to prawdziwa poezja plus autentyczna muzyka. W tym momencie nie mogę powstrzymać się od uwagi: nie wiadomo dlaczego tak lubią u nas słowo „piosenkarz". Tu i tam słyszy się wyrażenia „poeta-piosenkarz", „kompozytor-piosenkarz". Co za nonsens! Poeta powinien być poetą, a kompozytor – kompozytorem. Po prostu pracują oni w różnych gatunkach. Swoje piosenki piszę nie z poetami-piosenkarzami, lecz z dobrymi poetami – Jewtuszenką, Woźniesienskim, Dementiewem.

– O czym są te Pana piosenki?

– Naturalnie o miłości. Dla mnie jest to najważniejsze słowo na ziemi. Miłość do ojczyzny, do kobiety, przyjaciół – nie ma nic wyższego ponad to. We wszystkim, co otacza mnie jako człowieka i muzyka, powinna być obecna miłość. Wychodzę z niej zarówno w twórczości, jak i życiu. Nawet poetę, z którym piszę nowy utwór, muszę najpierw polubić jako kolegę, inaczej z naszej współpracy nic nie wyjdzie.

Let it be

John Lennon
Paul McCartney

When I find myself in times of trouble
Mother Mary comes to me
Speaking words of wisdom, let it be.
And in my hour of darkness
She is standing right in front of me
Speaking words of wisdom, let it be.
Let it be, let it be.
Whisper words of wisdom, let it be.
And when the broken hearted people
Living in the world agree,
There will be an answer, let it be.
For though they may be parted there is
Still a chance that they will see
There will be an answer, let it be.
Let it be, let it be. Yeah
There will be an answer, let it be.
And when the night is cloudy,
There is still a light shines on me,
Shine until tomorrow, let it be.
I wake up to the sound of music,
Mother Mary comes to me,
Speaking words of wisdom, let it be.
Let it be, it be.
There will be an answer, let it be.
Let it be, let it be.
Whisper words of wisdom, let it be.

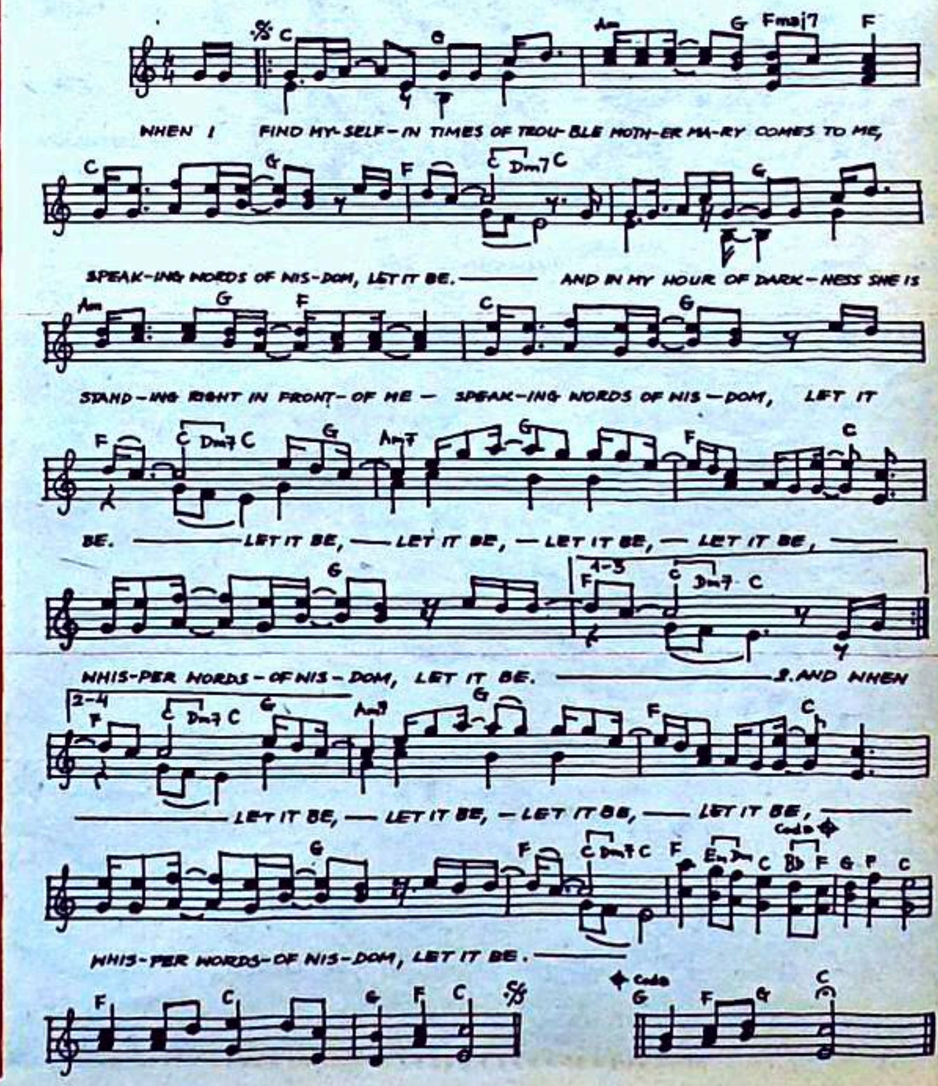

To musi tkwić w środku

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

Bronek Kowalewski jest jednym z 36 pracowników modelarni. Kierownik mówi, że żadnego z nich nie oddałby za żadną cenę. Zna ich, wie co od każdego z nich można wymagać, jaką robotę wykona najlepiej. Bronek na przykład jak nikt poradzi sobie ze wszelkimi tajemnicami takielunku. Robił już kilka modeli żaglowców. Za każdym razem wypadł na „piątkę". A zadania nie miał łatwego. Model „Daru Młodzieży", chyba największy, jaki budowali, musiał mieć ruchome wszystkie bloczki i zamocowania olinowania. Przeprowadzono na nim próby ożaglowania. Mikroskopijne bloczki działały bez zarzutu, nie rwały się liny kręcone z drutu i nici konopnych o przekroju jednej trzeciej milimetra. Za kilka dni Bronek zabiera się za „Pogorię" – model budowanego właśnie żaglowca, na którym wyruszą w rejsy członkowie Bractwa Żelaznej Szekli.

Sadowski chętnie mówi o swoich ludziach. Poznał ich dokładnie. Przyjmował ich do pracy, przyglądał się uważnie, powoli przekonywał, czy są godni zaufania, czy potrafią być jego pracownikami. Czego w nich szukał? Cierpliwości, opanowania, wytrwałości. O tak, to z pewnością podstawowe cechy. Ale jest coś jeszcze... Tylko jak nazwać tę dziwną właściwość człowieka, która zdradza, że będzie dobrym modelarzem. Sadowski nazywa tę cechę „smykałką".

– Można ją zobaczyć – tłumaczy – widać ją w ruchach, w twarzy człowieka pochylonego nad robotą, w jego reakcjach, gdy coś się nie udaje.

Czasem, no właśnie, czasem to dziwne, zauroczenie małymi modelami kryje się w jednym zdaniu. Jak wtedy, gdy stanął przed nim chłopak i powiedział: „Zwalniam się ze swojego zakładu, chcę u pana pracować. Jeśli mnie pan nie weźmie wyjeżdżam z Wybrzeża. Gdziekolwiek!" Po kilku dniach chłopak był pracownikiem modelarni. Jest nim do dziś.

– Bo to praca i zamiłowanie – mówi przy pożegnaniu Sadowski – pracy można się nauczyć, zamiłowanie, musi tkwić w środku, w człowieku.

KRZYSZTOF POTRZEBNICKI

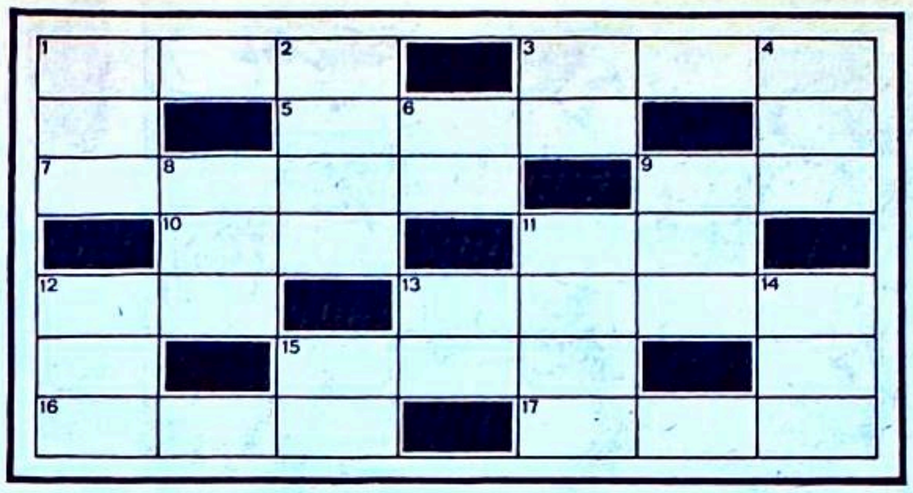

Zadanie premiowane nr 269

KRZYŻÓWKA DWULITEROWA

Odgadnij wyrazy o podanych znaczeniach i wpisz je do diagramu tak, aby w każdym polu znalazły się po dwie litery. Rozwiązanie napisz na kartce pocztowej i prześlij w ciągu 7 dni od daty tego numeru pod adresem: „Świat Młodych", Mokotowska 24, 00-561 Warszawa, „Zadanie premiowane nr 269".

Prawidłowe rozwiązania wezmą udział w losowaniu nagród.

ZNACZENIE WYRAZÓW

POZIOMO: 1) pakunek, 3) strzelba myśliwska, 5) muzułmańska świątynia, 7) po środzie, 9) defekt, usterka, 10) prostopadły do poziomu, 11) nad zlewem, 12) wyrastają z niego konary, 13) sfilmowana powieść Sienkiewicza, 15) wąski nie wykładany kołnierzyk stojący, 16) urzęduje w kasie, 17) łódź wydrążona z jednego pnia.

PIONOWO: 1) robotnik obsługujący kotły centralnego ogrzewania, 2) przyrząd potrzebny przy strojeniu instrumentów, 3) dęty instrument muzyczny, 4) zakład przemysłowy, w którym znajduje się dużo desek i trocin, 6) przekaz bankowy, 8) skała osadowa składająca się głównie z węglanu wapnia, 9) dział handlu, 11) człowiek krzykliwy, mówiący więcej niż robiący, 12) najlepszy stopień, 13) fason, model, 14) ... de Bergerac, tytułowy bohater komedii Rostanda, 15) kierownica statku.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI ŚWIĄTECZNEJ ze 151 numeru „Świata Młodych" z dnia 22.12.1979 r.

Prawidłowe rozwiązanie – **Poziomo:** obwódka, antałek, prezent, ropucha, elegant, cynamon, sporysz, apaszka, złoto, promocja, gołoledź, mazur, święta, wandal, owies, odłam, Oskar, order, burza, wiatr, aparat, wyskok, nalot, kurczaki, wyrostek, Erato, szlaban, parawan, aktorka, pasztet, tobołek, koszary, choinka, kosiarz. **Pionowo:** obrus, wapno, duchy, Apacz, hejnał, termit, Atena, trema, łgarz, kotka, parów, ramię, szczaw, połowa, salon, kadra, zamieszanie, oczy, ogrodnictwo, środa, iskra, torba, amory, dudek, liryk, Utrata, twórca, plusz, racja, alka, susza, opera, ratusz, tartak, szpic, lasso, beton, natka, patyk, rebus, Wołga, nakaz.

Bony PKO (wartości 500 zł każdy) wylosowali:

Krzysztof Królikowski – Henryk Nyga – Katarzyna Quant – Anna Rucińska – Joanna Szretter – Irena Szydłowska – Agata Wałęga – Grzegorz Wiencek – Maria Wilińska – Małgorzata Żur –

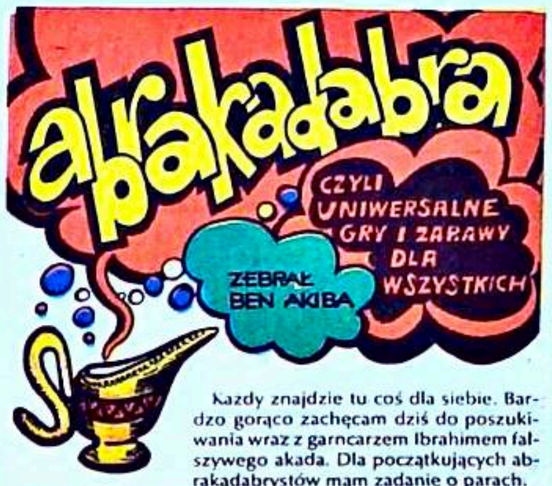

Każdy znajdzie tu coś dla siebie. Bardzo gorąco zachęcam dziś do poszukiwania wraz z garncarzem Ibrahimem fałszywego akada. Dla początkujących abrakadabrystów mam zadanie o parach.

Już wkrótce pojawi się znów w naszym kąciku kruk, który mówi. A także nowa krzyżówka liczbowa – znacznie trudniejsza od poprzedniej. Kłaniam się pięknie do następnej soboty.

BEN AKIBA, gospodarz Abrakadabry

TAJEMNICZE DZIAŁANIA

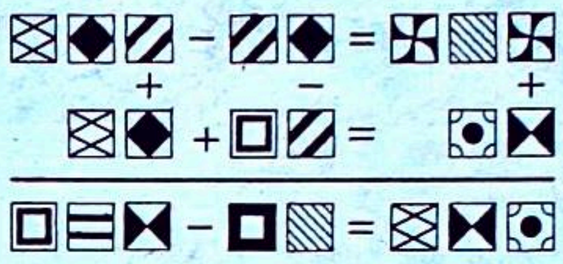

Na tym układzie rysuneczków zaszyfrowane są matematyczne działania na prawdziwych liczbach. Każdy rysuneczek, to jedna cyfra. Oczywiście, powtarzające się takie same rysuneczki oznaczają powtarzające się takie same cyfry. Działania wykonujemy – zgodnie z ich znakami, zarówno w kierunku poziomym, jak i pionowym, zastępując rysuneczki wydedukowanymi cyframi.

KŁOPOT Z FAŁSZYWYM AKADEM

Najpierw chcę przypomnieć, że w kalifacie Abrakadabry obiegową monetą jest akad (jeden akad dzieli się na sto dabrów). Otóż pewnego dnia na bazarze w stolicy naszego kalifatu – Akibadzie, mój znajomy garncarz Ibrahim, który tam ma swój stragan, dostał fałszywą monetę jednoakadową. Kiedy już wrzucił ją do szkatułki, zdał sobie sprawę, że moneta była jakby trochę lżejsza. Do końca dnia nie wydawał już nikomu reszty monetami jednoakadowymi, by nie dać komuś tej fałszywej. Kiedy pod wieczór obliczył stan kasy, okazało się, że monet jednoakadowych ma aż 81. Ale która z nich jest tą lżejszą, więc która jest fałszywa? W sąsiednim rzędzie straganów handlowali sprzedawcy wyrobów ze srebra. Od jednego z nich Ibrahim pożyczył dokładną wagę dwuszalkową bez odważników. Przystępując do ważenia swych monet Ibrahim pomyślał chwilę i powiedział do siebie: – Przecież mogę dokonać tylko czterech ważeń, aby znaleźć tego fałszywego akada!

Czy to jest w ogóle możliwe? Czy ty też po czwartym ważeniu mógłbyś powiedzieć „oto fałszywy akad"?

ZNAJDŹ. PARY ▶

Na każdym obrazku znajduje się jakaś fałszywa „para" – osoby nie pasują logicznie do siebie. Dobierz do postaci z lewej strony obrazków postacie z prawej strony obrazków. Jeśli posiadasz dobrze rozwiniętą umiejętność logicznego kojarzenia – uporasz się z tym problemem w trzy minuty.

TEATR CIENI ABRAKADABRY

Najpierw starannie zamaluj te wszystkie części w prostokątach, które oznaczone są kropkami. Potem dokładnie wytnij nożyczkami wszystkie prostokąty. Wreszcie – postaraj się z nich ułożyć scenkę, mrożącą krew w żyłach. To zadanie przeznaczam przede wszystkim dla moich najmłodszych przyjaciół.

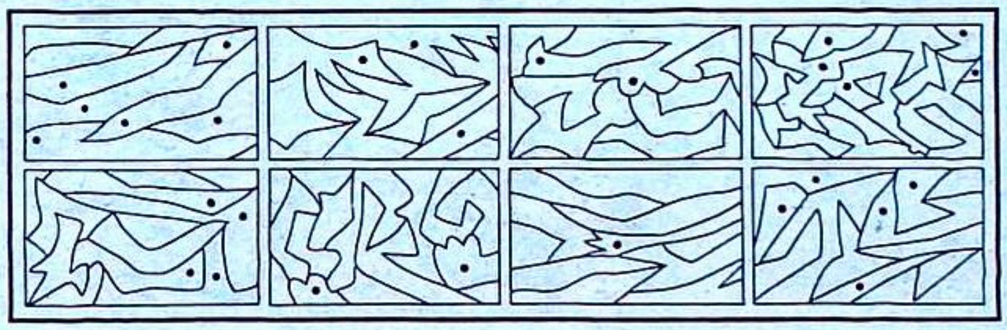

ODPOWIEDZI Z POPRZEDNIEJ SOBOTY:

4	4	2
8	5	0
8	9	9

LIST GOŃCZY: podejrzany nr 7. TAJEMNICZE DZIAŁANIA I KRZYŻÓWKA LICZBOWA: rozwiązania obok. TRYBY DLA NOWICJUSZY: tryby mechanizmu nie będą mogły się poruszyć niezależnie od tego, w którą stronę usiłowano by poruszyć tryb napędowy; spróbuj to sprawdzić na monetach.

19×17=323
\+ + −
297 : 9= 33
316−26=290

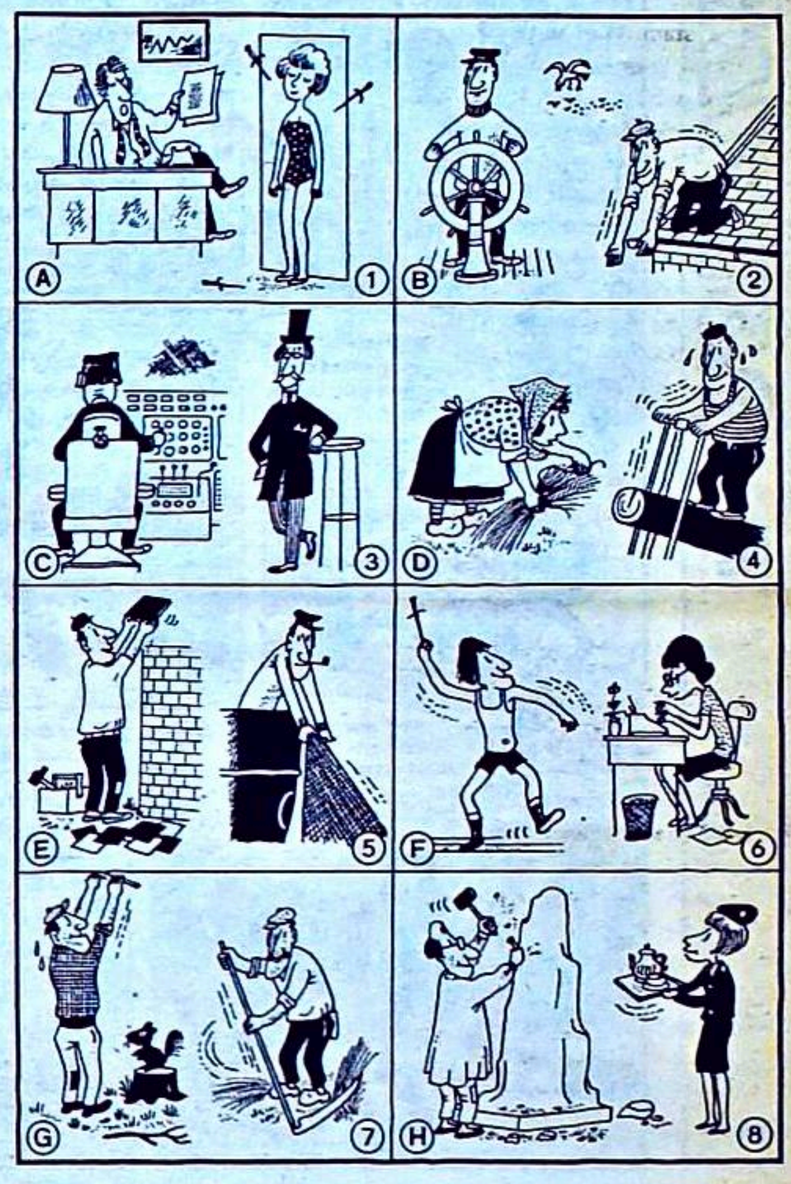

Pokręciłam przecząco głową. Raz, drugi. Kręciłam głową chyba pięć minut, może sto lat.

– Nie – powiedziałam już głośno i wlepiłam wzrok w stado różowych ptaków zalegających popielniczkę.

– Jak wolisz. – Odczekał chwilę i zapytał: Co w szkole?

– Dziękuję, dobrze.

– Jeśli chcesz, możesz przyjechać do nas na którąś niedzielę. Poznasz Iwonę, zobaczysz mieszkanie, miasto. To byłoby chyba dobre wyjście. Przekonałabyś się o paru sprawach na własnej skórze. Zawołał kelnerkę i zamówił jeszcze po kawie.

– Twój historyk się na nas gapi – powiedział, żeby w ogóle coś powiedzieć.

– Nie szkodzi.

Kelnerka przyniosła kawę. Miała za krótką granatową sukienkę, brudny biały fartuszek, za mocno umalowane oczy i rude, krótko ścięte włosy.

– Tato... Wydało mi się, że drgnął – Tato...

Spojrzał na mnie, jak na stołek, który nagle odezwał się ludzkim głosem.

– Chciałabym się przenieść do was już teraz, od nowego semestru, od lutego.

Czy wiesz, Mamo, że on się naprawdę ucieszył? Bo tak dobrze nie można chyba zagrać radości.

– Gośka!? – wrzasnął chyba na całe miasto. – Naprawdę się zgadzasz? – A potem zapytał ciszej: – A czy mama się zgodzi? Próbowałem z nią o tym rozmawiać w grudniu. Wysłuchała wszystkiego i trzasnęła słuchawką.

Nie wiedziałam, czy się zgodzisz. Wiedziałam natomiast, że nie mam w tym miasteczku i w tej szkole nic więcej do roboty. I że jeśli nie wyjadę, stanie się coś złego, sto razy gorszego niż wydarzenia ostatnich tygodni. Wydawało mi się, że przeszłam pewną barierę i jeśli dalej zostanę w tych co dotychczas sprawach, między tymi ludźmi, zacznę umierać od środka. Przerażało mnie to i to przerażenie dystansowało wszystkie inne obawy i niepewności. Bo przecież to nieprawda, że myślałam tylko o sobie. O Tobie myślałam także. Może przede wszystkim o Tobie. Mimo to, wtedy w kawiarni, między kęsem ciastka a łykiem kawy albo może między dwoma szklankami coca-coli, postanowiłam postawić wszystko na jedną kartę. Muszę Ci powiedzieć, że to wcale nie było tragiczne ani bardzo bolesne. Wręcz przeciwnie, to było kojące. Po tym wszystkim, co działo się ostatnio, wypowiedzenie na głos zdania: „W lutym wyjadę z tego miasteczka" – przyniosło mi ulgę.

Pożegnaliśmy się z ojcem w południe i wiem, że powinnam była przyjść do domu, że czekałaś na mnie tak jak zawsze. Nie przyznawałaś się do tego nawet przed samą sobą. Gdy wracałam ze spotkań z ojcem, nigdy nie pytałaś wprost, co mówił, jaki jest. Szukałaś pretekstów. Czasem zawiłych, czasem przeraźliwie prymitywnych. Następowało to niekiedy dopiero w poniedziałek albo nawet po kilku dniach. Kręciłaś się po mieszkaniu, przychodziłaś do mojego pokoju i po długich ceregielach wyciskałaś z siebie niezdarne pytanie o ojca.

Wiedziałam, że wtedy, w styczniu, też powinnam była wrócić prosto do domu, powiedzieć, co postanowiłam, i być z Tobą, i bez słowa protestu wysłuchać wszystkich Twoich pretensji i patrzeć na Twoją potwornie smutną twarz. Powinnam była wrócić, ale miałam do przemyślenia wiele spraw. To na przykład, jak będzie wyglądało moje wejście do domu tej pani Iwony. Bo przecież kobieta tworzy dom. Byłam ciekawa, jakie jest w tym mieszkaniu miejsce ojca, jak on się tam porusza, jak w tamtych ścianach brzmi jego głos. Bo widzisz, ja mam takie jedno wspomnienie i wydaje mi się, że zachowam je na zawsze. Gdy byłam mała i wracaliśmy od znajomych późnym wieczorem i byłam bardzo zmęczona, stawałam przed ojcem, zadzierałam do góry głowę i on wiedział, co to znaczy. Brał mnie na ręce i niósł przez całą drogę, a ja zasypiałam z głową między jego ramieniem a policzkiem. W domu układał mnie na tapczanie i wtedy otwierałam oczy. Brakowało mi tamtego oparcia, tamtego ciepła, które jest tylko w jednym miejscu na świecie – między jego ramieniem a szorstkim od zarostu policzkiem. Uwielbiałam podróżować na jego rękach i to jedno na pewno zapamiętałam. I nie mogłam w tamtą niedzielę wyobrazić sobie, jak z tym wspomnieniem wejdę do domu, w którym on jest mężem jakiejś obcej kobiety, jej tłem. Nie buntowałam się, nie protestowałam, tylko próbowałam zrozumieć, jak to może być.

Zamiast do domu, poszłam więc do starego parku i na spacer bocznymi uliczkami miasteczka. A potem szłam szosą, którą codziennie jeździsz do pracy. Byłaś mi bardzo potrzebna. Żeby powiedzieć, że to wszystko wcale nie jest takie straszne, że on jest dobry i nie kłamie, że wszystko jest proste i trzeba tylko właściwie spojrzeć. Szłam coraz dalej, bo moje drugie ja, to realne, mówiło, że Ty i tak nic nie pomożesz, bo odeszłyśmy od siebie tak daleko, że nie potrafimy ze sobą rozmawiać o niczym innym, niż o jutrzejszym obiedzie, i Ty ciągle powtarzasz, że nic nie rozumiem.

Cdn.

TEKST I RYSUNKI! SZARLOTA PAWEL

Z cyklu: „JONKA, JONEK I KLEKS"

ŚWIAT MŁODYCH
NAJCZYTELNIEJSZA GAZETA NASTOLATKÓW

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przejmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV O/Warszawa Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Opracowanie graficzne
Szarlota Pawel

Opracowanie techniczne
Małgorzata Waś

DRUK Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"

Nr zam. 245/G

0-42

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze:

- Ulica o ładnej nazwie: Grochowe Łąki w Poznaniu. W jednym z domów – świetlica, w której każde dziecko, jakie tu przyjdzie znajdzie serce pani Marii!
- Tajemnice niezwykłego teatru lalek z dalekiej Japonii, coś nie tylko dla interesujących się teatrem...
- Wkrótce Zimowe Igrzyska w Lake Placid – u nas sporo informacji dla interesujących się sportem.

PRZECIEŻ TO WSZYSTKO

24

anna frankowska

– Czy ty rozmawiałaś o tym z mamą?

– Po co? Uważasz, że jej jeszcze mało? Czy wiesz, że gdy odszedłeś, ludzie przestali nas zapraszać? Że znajome boją się, że mama odbije im mężów? Czy wiesz, jak ona sama wraca wieczorami do domu?

Zapalił pierwszego dziś papierosa.

– Gośka, tak nie będziemy rozmawiać...

– Dlaczego? A jak? Papka i wszystko cacy.

Nieważne było teraz, jaka jesteś. Ty. Nieważne, że nie rozmawiałam z Tobą prawie wcale i że byłaś mi niewiele mniej obca niż on. Przypomniałam sobie, jak wracasz sama wieczorami do domu, jak potykasz się na źle oświetlonej betonowej ścieżce między furtką a gankiem, jak boisz się, czy ktoś nie zaczaił się w krzakach porzeczek, jak nie możesz sobie poradzić równocześnie z rozłożoną parasolką, wyjęciem z torebki kluczy i naciskaniem klamki, i reszta straciła znaczenie. Nawet to, że nigdy nie zrobiłaś mi śniadania i nigdy nie byłyśmy razem w kinie, choć tak bardzo o tym marzyłam.

– Papka i cacy. I ja mam uwierzyć, że chcesz mnie zabrać do siebie dla mojego dobra? Czy odszedłeś od nas także dla mojego dobra?

Miał siwe włosy, worki pod oczami, a teraz doszły jeszcze zmarszczki. Dużo zmarszczek, których nie widziałam nigdy przedtem. Twarz raz po raz przesłaniał mu strumyczek dymu. Brudny, śmierdzący dym.

– Tak nie możemy rozmawiać. Naprawdę. – Spojrzał na mnie i nie było w tym śladu lęku czy tchórzostwa. Raczej zmęczenie i opanowanie. Siwe włosy, worki pod oczami – Tak nie możemy rozmawiać bez względu na to, ile jesteśmy sobie dłużni – powiedział cicho i uświadomiłam sobie nagle, że on też ma jakieś swoje kłopoty i te kłopoty przerastają go. Wydawało mi się, że ugina się pod ciężarem jakiegoś garbu, którego nie może zrzucić, że jest po prostu zmęczony życiem.

Palił powoli papierosa, a ja sączyłam przez zęby swoje fusy. Na sali oprócz nas było jeszcze może z piętnaście osób. Wiadomo, w niedzielne przedpołudnie w naszym miasteczku chodzą do kawiarni tylko heretycy i niebieskie ptaki. Kto ma czas, komu się chce? W porządnych domach porządne gospodynie gotują porządne obiady, ich porządni mężowie czytają gazety, a ich porządne dzieci oglądają Teleranek. Komu starcza silnej woli, aby odpowiednio wcześniej wygrzebać się z betów, iść do kościoła albo na spacer główną ulicą? Kto by chodził do kawiarni?

Rozejrzałam się po sali. W kącie, tym obstawionym paprotkami i palmą, siedział w towarzystwie dwóch podpitych panów „Cezal". „Cezal", mój nauczyciel historii, nie wymawiał „r", a ponadto nie był żonaty, co w naszym miasteczku nie mogło przejść bez plotek i milionów domysłów.

– Ten pan w kącie – powiedziałam do ojca – to mój historyk. Przez dzisiejsze spotkanie z tobą będę mieć drakę.

– Gośka – spojrzał na mnie składając różowego ptaszka. – Gośka, co się z tobą stało od ostatniego spotkania? Myślałem, że ty już to wszystko mniej więcej zrozumiałaś, że po prostu przeżyłaś już wszystko od środka. – Mówił ostrożnie, robiąc przerwę po każdym niemal słowie, żeby mnie nie skaleczyć, nie spowodować nieoczekiwanej reakcji. – Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?

Dokończenie na str. 7